ROK X. LUTY—1910 ROK. TOM II (XCVIX).





DZWONEK Częstochowski

PISMO MIESIĘCZNE

ILLUSTROWANE

POD REDAKCJĄ

KSIĘDZA JÓZEFA ADAMCZYKA

Adres Redakcyi: Częstochowa, pod Jasną Górą. — Filia w Warszawie: Marszałkowska Nr. 101.

1910.

Prenumeratorzy „Dzwonka Częstochowskiego" mogą nabywać po cenach zniżonych niżej wymienione dzieła:

Obrazy historyczne w Sali Rycerskiej na Jasnej-Górze — broszurowane 50 kop., w ozdobnej oprawie 1 rb. (za przesyłkę dopłaca się 20 kop.),

Wizerunki Dostojników duchownych w Sali Rycerskiej na Jasnej-Górze—50 kop. (za przesyłkę osobno 17 kop.).

Książka do nabożeństwa, zawierająca piękne dawne modlitwy, które nasi dziadowie i pradziadowie odmawiali—w oprawie ozdobnej w płótno, ze złoconymi brzegami 75 kop., w oprawie ozdobnej w skórkę ze złoconymi brzegami 1.00 kop., w oprawie skórkowej miękkiej 1.25 kop., w oprawie wytwornej, fantazyjnej 1 rb. 75 kop. (za przesyłkę tej książki dopłaca się 30 k.).

Z życia Adama Mickiewicza—popularny życiorys wieszcza, przez Stefana Gębarskiego, z portretem i w oprawie 80 kop., (z przesyłką pocztową).

W Administracyi „Dzwonka Częstochowskiego" są do nabycia:

Karty pocztowe kolorowane z widokami Jasnej-Góry — sztuka 5 kop., serya z 12 kart 50 kop., z przesyłką 70 kop. Album z 12 kart. w okładce tekturowej 55 kop., z przesyłką 70 kop.

Przewodnik illustrowany po Jasnej-Górze w Częstochowie. — Część I z planem Jasnej-Góry, str. 134, illustracyj 60, 30 kop., na lepszym papierze 40 kop. Część II. **Skarbiec Jasnogórski,** 50 illustracyj, 25 kop., na lepszym papierze 30 kop. (Za przesyłkę jednej części dopłaca się 15 kop.). Obydwie części z przesyłką 80 kop., na lepszym papierze 95 kop.

Święta Barbara — książka do nabożeństwa dla górników, w oprawie płóciennej 50 kop., w oprawie skórkowej 70 kop. (za przesyłkę 20 kop.).

Dobry katolik — Katechizm Rzymsko-katolicki, wraz z historyą Świętą, radami dla parafian i elementarzem, na którym tak dziecko, jak i dorosły może w krótkim czasie i z łatwością nauczyć się czytać, z illustracyami 12 kop., z przesyłką 16 kop.

Dwór Niebieski, czyli modlitwa ś-tej Luitgardy—8 kop., z przesyłką 10 kop.

Ks. Augustyn Kordecki—życiorys wiekopomnego obrońcy Jasnej-Góry od Szwedów, z przesyłką 5 kop.

Pamiętniki Majora — I. F. Kierzkowskiego — 1 rb.

Obraz kolorowy, przedstawiający ołtarz z cudownym obrazem Matki Boskiej w kaplicy Jasnogórskiej 28×18 cali, cena 40 kop.

Portret ks. Augustyna Kordeckiego 30×22 cali cena 30 kop.

Widok Jasnej-góry w kolorach 28×20½ cali, cena 40 kop.

Za przesyłkę wraz z opakowaniem jednego lub trzech obrazów dopłaca się 40 k.

Przy zamawianiu kilku książek naraz dopłaca się za przesyłkę po 20 kop. do każdego rubla lub części rubla.



ROK 1910.



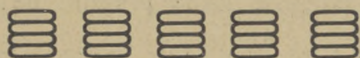
Dzwonek Częstochowski

PISMO MIESIĘCZNE ILLUSTROWANE

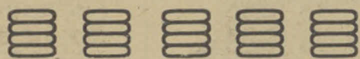
POD REDAKCYĄ

Księdza JÓZEFA ADAMCZYKA.

Pragnąc, aby „Dzwonek Częstochowski“, ten czciciel Maryi, która tron swój ziemski obrała sobie na Jasnej Górze w Częstochowie, jaknajszersze pozyskał sobie koła Czytelników, redakcya przeznacza na :: :: rok 1910 :: :: **wspaniałe premium**



„Relikwie i skarby klasztoru Jasnogórskiego w Częstochowie“.



W książce tej, obficie illustrowanej, znajdzie każdy polak-katolik dokładny opis pamiątek i zabytków przeszłości od wieków nagromadzonych tutaj przez pobożnych przodków naszych, a także dokładne podobizny zbrodniczo skradzionych koron i sukienki perłowej.

Cenne to premium otrzymają, bez wyjątku, wszyscy prenumeratorzy „Dzwonka Częstochowskiego“.

A także dla upamiętnienia dziesięciolecia swego istnienia redakcya „Dzwonka Częstochowskiego“ ofiaruje *wszystkim* prenumeratorom na rok 1910 piękną **„Książkę do nabożeństwa“** (jedynie za zwrotem kosztów oprawy) **lub do wyboru jedno z wydawnictw „Dz. Częstochowskiego“**, wyszczególnionych w ogłoszeniach.

Przeglądy naukowe, tak z dziedziny politycznej, społecznej, handlowej i przemysłowej, jak i ***wiadomości z chwili bieżącej, wychowania*** szkolnego i domowego, ***hygieny i rolnictwa,*** stale zamieszczać będziemy, pilnie bacząc, aby żadna gałąź wiedzy pominiętą nie była.

Kto kocha Boga i Ojczyznę, komu drogą dobra przyszłość i oświata ludu naszego, ten niechaj popiera „Dzwonek Częstochowski", którego redakcya otrzymała błogosławieństwa Ojca Swiętego Leona XIII i Piusa X, oraz biskupow i księży naszych

---

Na kongresie katolickim we Fryburgu nagrodzono redakcyę „Dzwonka Częstochowskiego" **medalem złotym,** a na kongresie Maryańskim wszechświatowym w Rzymie biskupi i kapłani wyrażali publiczne pochwały dla naszej pracy.



Rzym d. 5 Grudnia 1904 r.

Do Szanownej Redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego"

Kongres wszechświatowy ku czci Niepokalanej Matki Bożej w Rzymie odbył się z niesłychaną okazałością. Brało w nim udział kilkunastu Kardynałów, parę set biskupów, i niezliczona ilość uczonych z całego świata. Mowy były prawie wszystkie [illegible] wygłaszane ku czci Matki Bożej. O Dzwonku Częstochowskim przemawiał Kanonik przy kościele Matki Boskiej Śnieżnej, Ksiądz Głowacki w sekcyi prassy, zasypywany przez Księży z Polski i czcicieli Maryi tysiącami oklasków. Jego Excellencyja Ksiądz Arcybiskup [illegible] i inni bawiący tu biskupi polscy z wielkim uznaniem wyrażali się o Dzwonku, jako wydawnictwie poświęconem czci Maryi. [illegible] w naszym kraju.

Uczestnik Kongresu w Rzymie Ksiądz Kazimierz Grabowski.

Opłata za „Dzwonek Częstochowski" wynosi: rocznie z przesyłką pocztową rub. 4, półrocznie rub. 2, kwartalnie rub. 1. W Austryi: rocznie koron 10, półrocznie koron 5.—W Niemczech: rocznie marek 9, półrocznie marek 5. W Ameryce 2 dolary 50 cent. rocznie (5 rubli). Cena ogłoszeń: Na całej stronicy rub. 12, na połowie stronicy rub. 8, na czwartej części stronicy rub. 5 i za wiersz 75 kop. Prenumeratorzy miejscowi za odnoszenie do domu dopłacają 10 kop. kwartalnie.

Listy i przesyłki pieniężne należy adresować w ten sposób:
Do redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego" pod Jasną-Górą w Częstochowie.

ROK X. LUTY—1910 ROK. TOM II (XCIX).

DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI

PISMO MIESIĘCZNE ILLUSTROWANE

POD REDAKCYĄ

Księdza JÓZEFA ADAMCZYKA.



CZĘSTOCHOWA

Adres Redakcyi: Częstochowa, pod Jasną-Górą.

Filja w Warszawie: Ulica Marszałkowska Nr. 101.

1910.

Treść tomu lutowego 1910 roku,

ogólnego zbioru XCIX.

ILLUSTRACYE:





Ziemio rodzinna!...

Żegnaj, ziemio rodzinna!... Raz ostatni oczy
Piją twą krasę dzisiaj. A kiedy otoczy
Świat mnie inny i obcy dokoła,
Niech z głębi serca wspomnienie wywoła
Obraz twój. Patrzę... zapomnieć nie mogę
Rozstania się z tobą. A w nieznaną drogę
Biorę skarb wielki... Ta garść z ciebie wzięta,
Zasypie oczy moje. Jak z gniazda pisklęta,
Rzucone wichrem, tak burza nas miecie
Po świecie całym, a co słabsze — zgniecie,
Nie chcę być z tych, co zaprzedają duszę
Z nią wiarę ojców, a gdy jechać muszę
I tam, wśród obcych, w bolesnej tęsknocie,
Dotknę twych prochów, niechaj w hyżym locie
Twój miraż za mirażem przed oczy mi staje.
Milsi mi będą obcy, ich zwyczaje,
A miłość twoja, z piersi matki ssana,
Ukoi ból mój, a zadana rana
Zakrzepnie na czas jakiś. Niech się święci
W sercu mem miłość; jeno bez pamięci
Cierpimy nieraz, gdy porzucić trzeba
Miejsca rodzinne... I choć obce nieba
Dają dostatek, i dobrobyt zgłuszy
Niejedno serce, jednak w głębi duszy
Jest taka struna, która gdy zapłacze,
Poznasz, żeś dziecię — nieszczęsne — tułacze.

Antoni Mączyński.

Józef Grajnert.

Z dziejów Jasnej Góry.

NIESPODZIANE UZDROWIENIE.

Kielce, leżące nad rzeczką Silnicą, zkąd bierzemy wątek do niniejszego opowiadania, miasto, znajdujące się w bardzo pięknem położeniu, pomiędzy wzgórzami porośniętemi lasem, posiadają swoją starożytną kartę dziejową. Już w 1084 roku założony tu został kościół parafialny ś-go Wojciecha, a następnie Gedeon, biskup krakowski, wzniósł kolegiatę 1171 roku i wystawił w głębinie leśnej miasteczko Kielce, a kościół w niem z kamienia ciosowego wywiódł. W roku 1240 napad mongolski dźwigające się miasto prawie do szczętu zniszczył.

Kazimierz Wielki uwolnił je od dostarczania ludzi zbrojnych i oznaczył granice dóbr tutaj biskupich, gdyż Kielce należały do stołu biskupów krakowskich. Opatrzyli Kielce królowie jarmarkami, targami i innymi przywilejami, np. Zygmunt I uwalnia mieszczan od opłaty cła i targowego. Niemniej troskliwymi o dobro miasta byli biskupi. I tak, przywilej Piotra Myszkowskiego z r. 1579 dozwala Kielczanom wyrobu i szynku piwa i miodu, tak, że w tym obrębie nawet zakłady biskupie istnieć nie mogły; kardynał, biskup krakowski, Jerzy Radziwiłł w r. 1598 nadał miastu prawo pobierania brukowego. Bernard Maciejowski dodał do tych przywilejów prawo wolnego wyrębu w lasach biskupich.

Istniejące w okolicy kopalnie rudy miedzianej i ołowiu znaczne biskupom krakowskim przynosiły dochody, a od udzielanego pozwolenia kopania rud kruszczowych, pobierali opłaty, olborę.

Znakomity pasterz dyecezyalny, Piotr Tylicki, górników z Włoch sprowadził około r. 1612, do założenia i rękodzielni strzelby i różnej broni dopomógł. — Wojna szwedzka 1655 r. zniweczyła tutejsze zakłady. Biskupi radzili klęsce, jak mogli, a jeden z nich, Jan Małachowski przywilejem z r. 1685, chcąc wspomódz podupadłych mieszczan, zawarował iż samym tylko właścicielom domów miejskich służy wolność wyrabiania i szynkowania piwa, miodów, wina.

W czasie powtórnej wojny ze Szwedami, Karol XII bez oporu miasto 1702 r. zajął. Głośny z pięknych czynów biskup Felicyan Sza-

niawski zakłada tu w r. 1725 gmachy na seminaryum i szkoły, dostatecznie je uposaża i kierunek obu instytucyj świeckich porucza duchownym, Bartoszkami, czyli Komunistami zwanym.

Dwór, czyli zamek kielecki, pierwotnie był drewniany. W nim umarł biskup Gaudencyusz 1142 r., Paweł z Przemankowa często tu przebywał; tu zmarł w r. 1336 biskup Bodzanta, i przemieszkiwał chętnie Jan Konarski, biskup.

Stary dworzec znakomicie przebudował Piotr Tomicki, głośny dyplomata i prawnik XVI-go wieku; przebywało tu i chętnie przemieszkiwało kilku innych jeszcze biskupów, a Jakób Zadzik wymurował zamek warowny, połączony z kolegiatą długimi gankami. Ozdobiły go zewnątrz, dwiema piramidami przedzielone—posągi; z tych dwa na pamiątkę zawartego ze Szwecyą 1629 r. pokoju, przedstawiały pełnomocników szwedzkich; inne zaś dwa ministrów moskiewskich w narodowych strojach, z trzymanym w ręku traktatem pokoju z r. 1634. Wspomniany wyżej biskup Zadzik wzniósł oba te pomniki, jako umocowany od króla i Rzeczypospolitej do zawarcia obu tych przymierzy.

Biskup Jan Lipski, ostatni polski kardynał, zakończył w tym zamku życie 1746 roku. Jedna z sal pomieściła w sobie dotąd istniejące wizerunki biskupów krakowskich, aż do Jana Alberta, syna Zygmunta III; w innych malowidła na sufitach przedstawiały przedmioty historyczne. — Ostateczne wykończenie zamku przeprowadził biskup Trzebicki, następca Zadzika. Przemieszkiwali tu często jeszcze biskupi: Łubieński. Szaniawski, Lipski, Załuski i Sołtyk, a w r. 1702, w czasie wojny z Augustem II, Sasem, przebywał ze swoim sztabem Karol XII i ztąd wyruszył na bitwę pod Klisów z Augustem II. Tu następca biskupa Lipskiego, Andrzej Kostka Załuski przebywał i zaprowadził krótko trwałą instytucyę filantropijną „*Mons pietatis*“ i tu umarł biskup Kajetan Sołtyk 1788 roku. Po jego śmierci zamek z dobrami w r. 1789 na rzecz skarbu koronnego zajęty został, za czasów króla Stanisława Poniatowskiego.

Budowla ta, znacznym kosztem i w pięknym barokowym stylu wystawiona, jest prawie tak szeroką, jak długą. Wielkie i piękne, dłutowanemi kamiennemi futrynami otoczone okna zdobią główną ścianę tego zamku, a po bokach wznoszą się cztery baszty ośmiokątne, podobnemi do wież kościelnych kopułkami zakończone. Pod gankiem kolumnowym, nade drzwiami wchodowemi, znajdują się herby państwa i kapituły krakowskiej. Mury, łączące główną ścianę zamku z basztami, przyozdobione są czterema kamiennymi posągami, które po dwa z każdej strony budowli stoją. Posągi te, jak nadmieniono wyżej, wyobrażają parlamentarzy szwedzkich, z którymi założyciel zamku, biskup Zadzik, za-

szczytny dla Rzeczypospolitej pokój zawarł. Ze strony lewej przedstawieni są: Michał Teodorowicz, bojaryn, Szeremetjew i kniaź Aleksy Michałowicz Lwów, pełnomocnicy przy zawarciu traktatu wiaziemskiego nad rzeką Tolanówką w r. 1634. Drugie dwa, po prawej stronie będące, wyobrażają pełnomocników szwedzkich: Oxenstjerna i Piotra, hrabiego Brache, którzy znajdowali się przy rozejmie sztumdorfskim 1635 roku.

Na dole było mieszkanie marszałka, komisarza, izby skarbowe ze skarbcem i sklepy, w których mieściły się akta; były kawiarnie, cukiernie, izba kredensowa, kuchnia, wogóle izb 15, dwie sienie, dwa korytarze, wejście do 4-ch piwnic i dwie galerye. Na piętrze sale ogromne, malowidłami przyozdobione; najwspanialsza z nich otoczona jest dokoła samymi portretami, malowanymi na murze, biskupów krakowskich, poczynając od najpierwszego Prochoryusza, aż do Jana Albrechta Wazy. Znajdują się pomiędzy nimi wizerunki: Wincentego Kadłubka, Jarosława Skotnickiego, Zbigniewa Oleśnickiego, Piotra Tomickiego, i innych. Są i portrety Pawła z Przemankowa, Zawiszy z Kurozwęk i Gamrata. Wreszcie i strop drewniany z belek, pokrytych pierwotnem malowaniem w arabeski, daje tej sali poważną, dziejową postać. Po lewej stronie są sale, które były mieszkaniem biskupów, a po prawej królewskie. Sal wszystkich jest 16, mniejszych 8, kilka korytarzy i sionek.

W pokojach biskupich jeden, przebudowany przez Sołtyka na kaplicę, ma sufit szczególny z listw rzeźbionych, złoconych, stanowiących ramę obrazu, mającego napis: „Arianismus proscriptus“ (Arjanizm wygnany), pięknego pędzla. Przedstawia sprawy sekty Aryanów na sejmie 1638 r. sądzone, na którym biskup Zadzik publicznie ich oskarżał przed Władysławem IV-ym, który siedzi na tronie pod baldachimem, otoczony senatorami i dostojnikami państwa. Po prawej stronie siedzi kaznodzieja królewski, Kazimierz Sarbiewski, Jezuita i słynny poeta, — po lewej sędziwy Zadzik, rzecz królowi przekładający. Staranne wykończenie, zręczne ugrupowanie osób, dobre oświetlenie i widoki gmachów Warszawy przez okna, czynią to malowidło nieoszacowanem, jako współczesne i mieszczące wizerunki z podobieństwem sławnych ludzi, oraz ubiorów w czasie sejmów używanych. Obraz ten otaczają cztery kątowe obrazy, wystawiające cztery pory roku. Za tą kaplicą jest obszerny pokój z pięknym widokiem, który był na bibliotekę przeznaczony i w nim też uczony biskup Andrzej Załuski miał swój zbiór książek, będący początkiem sławnej później biblioteki Załuskich, tak smutny mającej koniec.

Na drugiej stronie pokoje, zwane królewskimi, mają także na sufitach obrazy. Na pierwszym jest przedstawiony sejm po zawarciu

pokoju stumdorfskiego w r. 1635, na którym król przyjmował publicznie powinszowania szczęśliwego zawarcia pokoju ze Szwecyą, od cesarza niemieckiego Ferdynanda II-go, przez jego posła Aleksandra hrabiego Greisenau. Król, pod baldachimem, w hiszpańskim białym, w złote hafty stroju, zwrócony nieco w prawą stronę, z której zbliżają się ku tronowi trzej posłowie cesarscy, w czarnej hiszpańskiej odzieży. Po lewej stronie Żadzik, jako główny sprawca pokoju. Obok niego na szabli oparty Rafał Leszczyński, wojewoda bełzki, poniżej obrazu, koło sentorów. W czterech rogach tegoż umieszczone są dwa mniejsze obrazy wypraw wojennych współczesnych, zawarcia pokoju w Altmarn, i portrety: Zadzika, hetmana Koniecpolskiego, Jerzego Ossolińskiego i t. d. Drugi wyobraża zawarcie pokoju w Stumdorfie, trzeci oblężenie Torunia; czwarty wykonanie umowy, zawartej pod Smoleńskiem. Jeden z większych obrazów przedstawia pożar jednej z dzielnic Moskwy, Troickiej, tudzież bitwę w r. 1611, w której poległ Maciej, starszy brat biskupa. Wogóle są to nieocenione zabytki dla historyi polskiej XVII wieku. Na ramach rzeźbionych znajdują się herby znakomitych ludzi współczesnych.

Zamek ten dziś jest zajęty na biura rządu gubernialnego Kieleckiego. Obok zamku stoi starożytna świątynia Pańska, zabytek budownictwa z końca XII wieku, pod wezwaniem Najświętszej Panny. Kościół kolegiacki stoi na najwyższym punkcie miasta, a połączony będąc z gmachem seminaryjnym i zamkiem biskupim, oraz z wyniosłą wieżą i czterema basztami zamku, nad całą panuje okolicą. Wewnątrz tę świątynię zdobią ołtarze malowidła Czechowicza z rzeźbą Frąckiewicza, krakowskiego artysty z początku zeszłego wieku. Kolegiata Panny Maryi, w różnych czasach rozszerzana i ozdabiana, liczne zawiera nagrobki, niektóre z chęcińskiego marmuru. Spoczywa tu Jędrzej Stanisław Załuski, zmarły w r. 1758; tu się znajduje grobowiec Anny z Krzyckich Zebrzydowskiej, w postaci leżącej kobiety, który matce swej wystawił Andrzej Zebrzydowski — biskup w r. 1553.

Kolegiata kielecka od swego założenia szczyci się wielu wspomnieniami i ludźmi, nauką i zasługą w kraju, oraz w Kościele słynnymi. Za kolegiatą stoją domy proboszcza i kanoników, a nieco dalej na dół schodząc, kościół św. Trójcy, gankiem z kolegiatą łączący się. Zewnątrz świątyni na marmurowej tablicy wyryte są złotemi głoskami z polecenia prymasa, Michała Poniatowskiego, następujące przedmioty: abecadło, liczby, cztery prawdy, dwa najważniejsze przykazania, miary krajowe, wagi, zgoła cały kurs nauk i wiadomości kmiotka.

Miasto do ostatnich niemal czasów było tylko przez samych

chrześcijan zamieszkane; zdobią je wspomniane świątynie, wraz z kościołem św. Trójcy i gmachem, zwanym „Leonard“—przez biskupa Sołtyka dla Sióstr Miłosierdzia założonym. Herb miasta stanowi złota korona w czerwonem polu, a pod nią głoski C. K. — miasto Kielce.

Na cmentarzu kieleckim spoczywają zwłoki dzielnego zdobywcy armat pod Racławicami, Bartosza Głowackiego, który w bitwie pod Szczekocinami, o kilka mil ztąd leżącemi, śmiertelnie zraniony, tu zmarł w szpitalu, dnia 9 czerwca 1794 roku.

Zdarzyło się, że w mieście tem, roku 1833 niejaka Maryanna Nawrocka, obywatelka, przez półtora roku ciężką chorobą złożona, wzywała najbieglejszych miejscowych lekarzy, którzy, nie mogąc zaradzić cierpieniom, o życiu jej zwątpili, a zrobiwszy naradę, męża upewnili, iż chora wkrótce życie zakończy.

Pogrążony w dotkliwym smutku, troskliwy mąż, gdy już pociechy otrzymać nie mógł, z Nieba jej oczekiwał. Pobożny człowiek, wzywając łaski Matki Bożej, której szczególną cześć zawsze okazywał, nie omylił się w swych nadziejach. Przybył w r. 1835 w miesiącu lipcu na Jasną Górę, przywiózłszy na pół już prawie umarłą swą żonę, w celu uproszenia od Najświętszej Panny zdrowia dla wiernej swej małżonki. Zdjętą z bryki, przy pomocy ludzi, do kaplicy cudownego obrazu zaniósł. Sam przy niej, łzami skrapiając posadzkę, gorącemi modły prosił Boga i przyczyny Maryi, o przywrócenie zdrowia żonie swojej, a matce kilkorga dzieci.

Jakoż po półgodzinnej, szczerej modlitwie, żona Maryanna uczuła się tak silną, że wsparta na ręce męża, wyszła z przybytku świętego dla przyjęcia ciepłego pokarmu, którego oddawna spożyć nie mogła.

Dnia następnego więcej, niż godzinę modliła się przed świętym Maryi Obrazem, a ożywiona siłą nadludzką, w towarzystwie męża sama wyszła z kościoła.

Dnia trzeciego, czując się zupełnie zdrową, odbyła spowiedź i komunię świętą przyjąwszy, powróciła wraz z mężem do domu, z zadziwieniem obywateli Kieleckich, że ta, którą za umarłą już miano, chodzi i życiem swem cieszy swoje dziatki.

Zdarzenie to zapisanem zostało szczegółowo w kronice Jasnogórskiego klasztoru.





ŻYWOT ZBAWICIELA ŚWIATA
Pana naszego Jezusa Chrystusa.

(Ciąg dalszy).

Rzesze ludu, które chodziły za Jezusem, z nadzwyczajnem zajęciem słuchały jego nauk i opowiadań. Pewnego razu wystąpił z pośród rzeszy „niektóry biegły w zakonie", niewątpliwie Faryzeusz i pyta się: „Nauczycielu, co czyniąc, dostąpię żywota wiecznego"?

Ten „biegły w zakonie" słyszał, jak Jezus nazwał błogosławionymi Swych uczniów, iż imiona ich zapisane są w niebiesiech, jak dziękował „Ojcu", że to zakrył od mądrych i rozumnych, a objawił maluczkim. Faryzeusz domyślił się odrazu, kto są owi mądrzy i rozumni; a kiedy ten Nauczyciel mówi o Sobie, jako o Synu Ojca, który Mu wszystko podał, to taka mowa niezrozumiała, ten Nauczyciel zna chyba drogę do Nieba inną od tej, którą Zakon Mojżeszowy wskazuje, a więc staje z nim w sprzeczności. To go niepokoi, więc jak tylko Jezus przestał mówić na chwilę, wysuwa się naprzód i zadaje najniewinniejsze w świecie pytanie: „Nauczycielu, co czyniąc, dostąpię żywota wiecznego?" A jednak było to kuszenie, zasadzka ze strony biegłego w Zakonie. Nie wątpi on, że „Nauczyciel" teraz jeszcze otwarciej, jeszcze wyraźniej stanie w sprzeczności z Zakonem, objaśni to, co był napomykał w rozmowie z uczniami; a wtedy będzie jawny dowód, że ten Cudotwórca poniewiera

Mojżesza, uwodzi lud. Biegły w Zakonie, ani się domyśla, jak przez to „kuszenie“ dopomaga zamiarom Jezusowym.

Uczniowie są „Ducha“ Jezusowego. Temu Duchowi zawdzięczają że imiona ich zapisane są w niebiesiech. Ale jakiż stosunek tego „Ducha“ do „Zakonu“, którego zasadniczem przykazaniem jest: „Będziesz miłował Pana Boga twego ze wszystkiego serca twego, a bliźniego swego, jak samego siebie“.

Czy Jezus Swoim „Duchem“ miał znosić to przykazanie?

Jezus odpowiada biegłemu w Zakonie. Każe mu obaczyć, co w Zakonie napisano, co tam czyta, — a gdy on to przykazanie dobrze przytoczył, każe mu żyć według tego przykazania, czyli potwierdza to przykazanie. Uczniowie widzą, że i nowy „duch“ nie zna nic większego nad to, co jest powiedziano: „Miłuj Boga nadewszystko, a bliźniego jak siebie samego“.

Ale Faryzeusz chce się teraz usprawiedliwić, czuje, że tamto pytanie nie prowadzi do celu, chce pomyłkę swą naprawić, więc chwyta się w lot innego wybiegu, udaje, że w przykazaniu Mojżeszowem jeden punkt dla niego jest nie jasny, — byłby zatem rad, gdyby „Nauczyciel“ wyjaśnił go, — wypowiedział o nim swe zdanie. „A któż jest mój bliźni?“— pyta z nagła, jakby mu od samego początku o to jedno tylko chodziło. To pytanie daje Jezusowi sposobność do nowego objawienia, bardzo pożądanego dla uczniów: Jezus pokaże im, że to wielkie przykazanie miłości nietylko żadnego nie doznaje uszczerbku ze strony „ducha“ nowego Zakonu, Ewangelii, lecz owszem, na tym nowym fundamencie rozwija się, dojrzewa, wspaniałe wydaje owoce. Miłość Boga, miłość z całego serca i ze wszystkiej duszy, dopiero w miłości Jezusa, Syna Bożego, który się stał człowiekiem, może się jaknajdoskonalej okazać. Zaś miłość bliźniego wyrosła na gruncie serca tego, który się samego siebie zaparł, co umie wyrzec się samolubstwa, ta miłość wzniesie się aż do miłości nieprzyjaciół. — I to teraz objawia Jezus w przypowieści o Samarytaninie. Człowiek niektóry, oczywiście żydowin, idąc z Jeruzalem do Jeryho, w drodze wpadł między zbójców, którzy go poranili, złupili i na pół umarłego zostawili. Nad nieszczęśliwym nie ulitował się ani przechodzący tamtędy kapłan, ani Lewita, — ulitował się Samarytanin. Biegły w zakonie musi przyznać, że ten Samarytanin okazał się „bliźnim“, bliźniego miłował jak siebie samego, a przecież Samarytanin nie był żydem, owszem był wrogiem żydów. Ale że się samego siebie zaparł, że przemógł w sobie wrodzone uczucie zawziętości, ulitował się nad Izraelitą, nad nieprzyjacielem, okazał miłość bliźniego taką, jakiej od uczniów domaga się „duch“ Chrystusowy. Dlatego Jezus mówi: „Idź-że i ty czyń tak“.

Przykazanie miłości bliźniego jest dla wszystkich, — jest powsze-

chne, nie zna żadnego ograniczenia, nawet nieprzyjaciół nie wyklucza. Izrael, ten lud niewierny, niema prawa chełpić się z swego Zakonu, z przykazania miłości bliźniego, boć oni wszyscy, aż do kapłana i Lewity, nie okazują tej miłości nawet własnej braci, cóż dopiero żeby zrozumieli wszystką istotę Mojżeszowego przykazania! Dla siebie, czyli między sobą nie znają miłości, — nieprzyjaciół a także Samarytanów nienawidzą śmiertelnie. — Niechże największego nieprzyjaciela poczną uważać za bliźniego, miłują jak siebie samego: tedy dopiero będą prawymi uczniami Mojżeszowymi i wtedy dopiero mogą się spodziewać żywota wiecznego.

Gdy Jezus szedł z Galilei do Jeruzalem, aby spełniło się wszystko, co przepowiedzieli prorocy o synu człowieczym, po drodze wstąpił do Betanji w pobliżu Jerozolimy. Tu wdowa, imieniem Marta, siostra Łazarza, zaprasza Jezusa w dom swój. Ona już od dawna pragnęła oglądać Jezusa, bo wierzyła weń, wierzyła w Mesyasza. Marta miała młodziutką siostrę, imieniem Maryą. I ta również oddawna pragnęła poznać Mesyasza. Jezus przyjmuje zaproszenie. Marta uszczęśliwiona krząta się „około rozmaitej posługi“, chciałaby w domu swoim w sposób najgodniejszy ugościć Jezusa.

Siostra jej Marya tymczasem w inny sposób umyśliła sobie złożyć hołd Panu: „usiadła u nóg Jezusowych i słuchała słowa Jego“. Szczęśliwa nad wyraz, zawisła niejako całą duszą na ustach Mesyasza—Syna Bożego.

Marta nie może już podołać pracy; — zdaje się jej, że siostra, siedząc bezczynnie u nóg Jezusowych, grzeszy przeciwko powinności swojej pomagania siostrze, więc gdy Jezus przestał mówić, stanęła przed Nim i rzekła: „Panie, nie dbasz Ty, iż siostra moja opuściła mię, żebym sama posługiwała? Rzecz-że jej tedy, aby mi pomogła“.

Co odpowie na to użalenie Jezus? Jezus odpowiada: „Marto, Marto, troszczysz się i frasujesz około bardzo wiela. Ale jednego potrzeba: Marya najlepszą cząstkę obrała, która od niej nie będzie odjęta“.

Dla prawego Izraelity „najlepszą cząstką“ jest Jehowa, Bóg. Tę cząstkę obrała sobie i Marya, bo ona tego Jehowę, tego Pana widzi przed sobą w Mesyaszu, który oto gości w jej domu. Jakże się dziwić, że u stóp Jego siedzi, że z takiem upragnieniem, z zachwytem miłości słucha każdego Jego słowa. Miłować tego Pana, tego Boga, toć to ono „jedno potrzebne“ — jedyne, co ją może uszczęśliwić, czego jej dusza do życia potrzebuje. To wszystko działo się w oczach Apostołów. Patrząc na Maryę, siedzącą u nóg Jezusowych, słuchającą słów Jego, widzą obraz prawej miłości Bożej. Obowiązek miłowania Boga z całego serca, już Mojżesz powtarzał na czele wszystkich przykazań; ale sposób, w jaki się ta mi-

łość z całego serca ujawnia, podaje się dopiero z „ducha Chrystusowego“, przez objawienie się Mesyaszowe. Ten duch Chrystusowy, ta doskonała miłość Boga, święci pierwszy tryumf naoczny w Maryi i jest wzorem i przykładem dla Apostołów i dla wszystkich po wszystkie czasy.

(c. d. n.)



HOŁD MARYI.

Gdy Marya na Jasnej-Górze ma swój tron,
Jest on silny — cudowną jest jego potęga,
Próżno pycha i chciwość po zdobycz tam sięga,
Tu tylko dla czcicieli niebiański jest plon!
Kto więc służy Maryi i pragnie Jej nieść
Skromne swoje usługi ochotnie i szczerze,
Jak „Dzwonek Częstochowski“ niosąc je w ofierze,
Oddaje hołd należny — pomnaża Jej cześć, —
Temu Ona sowitą wypłaci nagrodę
Da blask czynom szlachetnym — i myślom swobodę!

Ks. Adam Ćwikliński.



KRÓL JAGIEŁŁO I MISTRZ ULRYK.

Obrazy historyczne z czasów pogromu grunwaldzkiego.

ROZDZIAŁ I.

Na ruinach Złotoryi.

Pan Jan z Lipna, rycerz znany z męstwa i odwagi, gdy wrócił z Litwy, gdzie był w orszaku króla Jagiełły i królowej Jadwigi, zastał swoje posiadłości pod Drezdenkiem, w ziemi Dobrzyńskiej, srodze spustoszone.

Największą żałością przejął go widok rodzinnej Złotoryi. Zostały tutaj ruiny i gruzy. A przecież gdy przed rokiem opuszczał te strony, nic nie wróżyło takiego zniszczenia.

Wśród zgliszcz obronnego od niedawna zamku, ujrzał starego sługę, skrępowanego i nawpół żywego.

Zbliżył się do niego i uwolnił z więzów.

Stary opamiętał się, spojrzał na pana i rzekł głosem słabym:

— Niemcy to zrobili!.. Cała ziemia dobrzyńska w ich mocy...

Pan Jan zadumał się smutnie.

Wiedział on, że między Krzyżakami a Jagiełłą, królem polskim, i Witoldem, księciem litewskim, zgody nie było, że Niemcom solą w oku było połączenie się Litwy z Polską, ale nie przypuszczał, aby tak prędko doszło do wojny.

Jakby czytając w myślach pana, stary sługa mówił:

— Krzyżacy teraz obrali sobie na mistrza człeka zapalczywego, groźnego, porywczego, pragnącego świat cały mieć pod swoją nogą, człowieka nienawidzącego Polskę i Litwę...

— Ulryka von Jungingen — dokończył szeptem pan Jan.

— A raczej szatana pychy i przewrotności! — westchnął stary.

Pan Jan odwrócił się, chciał zawołać na swoich ludzi, którzy mu w podróży towarzyszyli, aby podali chleb i wino, gdyż stary Paweł siły tracił i opadał na wpół omdlały. W tej chwili jednak dał się słyszeć kobiecy głos przejmujący:

— Biada ci, Zakonie przeniewierczy! biada wam Niemcy, którzy zabijacie ducha i ciało ludów!.. Biada, po wieki wieków wam biada!..

Pan Jan spojrzał w głąb ruin, skąd głos ten się dawał słyszeć i ujrzał tam niewiastę w ciemnej, jakby zakonnej sukni, o bladych licach, z rozpaczą w wielkich, nawpół obłąkanych oczach.

— Kto jesteś?.. czego żądasz?.. — zapytał rycerz.

Niewiasta, jakby nie spostrzegając rycerza i nie słysząc jego słów, patrzyła w dal i nuciła jakąś rzewną, tęskną piosenkę, przerywaną łkaniem i okrzykami groźby.



Krzyżacy pędzą ludność polską do niewoli.

— To obłąkana! — rzekł stary Paweł. — Zapewne padła wraz z rodziną ofiarą krwawego najścia krzyżaków na ziemię Dobrzyńską.

Od dwóch dni słyszę jej płacz, kwilenia i przekleństwa...

— Nieszczęsna! — zawołał rycerz Jan — pomoc jej dać trzeba!..

— Ja nie mogłem, panie! — odrzekł Paweł — sam umarłbym wśród tych ruin i zgliszcz, zapomniany od ludzi, gdyby nie wasza pomoc...

Nie zdążył atoli Jan z Lipna wrócić do swoich ludzi, których zostawił w pobliżu ruin Złotoryi, gdy nagle dał się słyszeć tętent koni i na równinie ukazało się w oddali wojsko krzyżackie.

Przodem jechał oddział świetnych rycerzy, mając pośród siebie kapelę, która naraz grać zaczęła.

Orszak ten przedni rycerzy i wysuwające się wojsko na wielką drogę, która prowadziła do Malborga, zbliżał się do ruin z każdą chwilą.

Teraz nie było już wątpliwości, że szły hufce krzyżackie z wyprawy w głąb ziemi polskiej.

Wracali Krzyżacy, obciążeni przeróżnemi łupami, prowadząc tysiączne tłumy wziętego do niewoli ludu polskiego.

W oddaleniu widać było, jak knechci i pachołkowie niemieccy uwijali się wśród zbitej masy kobiet, dzieci i starców, napędzając do pośpiechu w pochodzie. Widok prowadzonego do niewoli niemieckiej ludu był okropny. Nawpół odziani, smagani batami i kijami, gdyż z wycieńczenia padali w drodze lub opóźniali pochód, nieszczęśliwi ci, głośno zawodzili, rozpaczliwie wyrzekając na swe losy.

Z zapartym w piersi oddechem spoglądał na przeciągającą potęgę krzyżacką pan Jan z Lipna.

— Do ruin Złotoryi, do zburzonego niedawno miasta i zamku — mówił stary Paweł — nie śpieszy się tym sępom niemieckim...

Nic na to nie odrzekł pan Jan, pilnie śledząc oczyma przeciągającą obok nawałę krzyżacką.

Ludzie jego, których zostawił za wzgórzem poblizkiem, na skraju lasu, widać również nie zwrócili na siebie uwagi bezpiecznie wracających przy dźwiękach muzyki i śpiewach Niemców, gdyż stali tam spokojnie, czekając na rozkazy pana.

Ze dwie godziny przeciągało krzyżactwo w pobliżu Złotoryi.

Gdy ostatnie oddziały zniknęły w oddali, stary Paweł wzniósł pobożnie oczy do nieba i w cichej modlitwie dziękował Bogu, że nie wpadł w szpony niemieckie.

— Po raz drugi Pan Bóg mnie uchronił od niewoli niemieckiej... Niechajże mu będą za to dzięki po wieki wieków...

Radość, że Niemcy przeszli obok zgliszcz Złotoryi, nie zaglądając do nich, była taka wielka, że wróciła starcowi utracone siły.

— To z pewnością sam mistrz Ulryk wraca do Malborga... To ta sama huczna kapela, z trąb, fletów, piszczałek, cymbałów i dzwonów złożona, przygrywała, gdy mistrz Ulryk oblegał naszą Złotoryę...

Pan Jan z Lipna, w niemej pogrążony zadumie, ścigając zasmuconym wzrokiem hen! w oddali ginące tłumy polskich niewolników i las kopij wojsk krzyżackich, słuchał starego Pawła z sercem boleśnie zranionem.

Nie takie wieści usłyszeć, nie takie ujrzeć obrazy spodziewał się w rodzinnych swych i drogich ojczystych stronach...

— Sam mistrz Ulryk szturmował do bram Złotoryi — mówił dalej Paweł. — Otoczona przez dziesięćkroć przeważające siły, musiała uledz przemocy. W obliczu ucztującego dzień i noc Ulryka, który z poblizkiego

Torunia sprowadzić sobie kazał co najlepsze wina i potrawy, Złotoryę krzyżactwo zdobyło. Widzę Ulryka, jak w chwili walących się murów miejskich pod kulami dział niemieckich, jakich dotychczas oko ludzkie nie widziało, wydaje rozkaz, aby z miasta i zamku kamienia na kamieniu nie zostawić. Widzę go, jak otoczony strojnym tłumem dworzan, wśród



Krzyżak na straży

których mnóstwo było pań niemieckich z Torunia, chciwych widoku zniszczenia, mistrz Ulryk, w białym płaszczu na błyszczącej zbroi, wskazuje mieczem na burzoną Złotoryę, nie zważa na jęki i rozpacz mordowanych i branych w niewolę mieszkańców...

— Tak padnie u stóp moich i zburzone będzie całe Królestwo Polskie! — woła, wyciągając miecz płomienny w stronę Krakowa. — Nie

spocznę, miecza nie włożę do pochwy, dopóki, jak oto z tego miasta, tak z Królestwa nie pozostaną ruiny i zgliszcza!.. Groźny był, gdy te słowa wraz ze starszyzną głosem grobowym światu obwieszczał. Od łuny pożaru w zbroi jego migotało krwawe światło. Zdawało się, że to sam Lucyper, wyszedłszy z piekielnych czeluści na świat Boży, grozi wszystkiemu, co polskie, zgubą i zagładą...

Stary Paweł podniósł się z ruin, w zbolałe piersi chwytał ustami powietrze, chciał postąpić kilka kroków ku panu z Lipna, lecz zachwiał się i upadł na ziemię.

Pośpieszył mu z ratunkiem pan Jan, gdy naraz, nie wiadomo skąd, zjawiła się nagle owa młoda szalona niewiasta, w szaty zakonne odziana, pochyliła się, a następnie uklękła przy omdlałym starcu i cucić go zaczęła.

Zdawało się, że rozum jej nagle wrócił, że szaleństwo ją opuściło.

ROZDZIAŁ II.

Hrabia de Castillo.

— Kto jesteś, pani! — rzekł po chwili pan Jan z Lipna, gdy nadbiegło kilku pachołków jego i zajęło się ratowaniem starego Pawła.

Młoda niewiasta podniosła na pytającego swe smutne oczy i zwolna odrzekła:

— Jestem sługą Bożą — zakonnicą... A raczej byłam nią... Krzyżacy napadli na naszą świątynię, rozpędzili sługi Boże, zrabowali święte ołtarze i klasztor nam zabrali dla swoich mnichów-rycerzy...

Z wielkiem zdumieniem słuchał tego pan z Lipna.

— Na Boga!.. i nic-że im za to władze duchowne nie powiedziały?.. Nie masz-że nad nimi władzy biskupiej lub papieskiej?..

Niewiasta westchnęła.

— Jest sprawiedliwość, ale jedynie Boża... Przed władzą biskupią złożyli świętokradzkie przysięgi, że to Litwini-poganie napadli na nasz klasztor pod Dobrzyniem i zrabowali go...

— I uwierzono im?..

— Nie wiem... dość, że tryumfują... Ale jest Bóg na niebie, jest sprawiedliwość!..

— Jak się zowiecie, pani?.. Gdzie rodzina wasza?.. Pozwólcie, że jako rycerz, który ślubował opiekę niewinnie uciśnionym, starcom, kobie-

tom i dzieciom, chętnie udzielę wam pomocy i odprowadzę do rodzinnego gniazda...

Na wzmiankę o rodzinie, o domu rodzinnym, młoda niewiasta rozpłakała się nagle, wzniosła oczy ku niebu, wyciągnęła ręce do góry, jakby wzywając pomocy Bożej i coś niezrozumiale szeptać zaczęła...

Rycerz milczał, widząc, że się modli.



Krzyżacy do niewoli uprowadzają brankę polską.

Nieznajoma wielkie na nim wywarła wrażenie. Lica jej niezwykle piękne, choć pożółkłe i wybladłe, oczy ciemne, smutne, łzami uperlone, postać pełna szlachetnego wdzięku, znamionowały, że nie z niskiego stanu pochodzi.

— Chętnie przyjmę opiekę twoją, rycerzu! — odrzekła nieznajoma, opuszczając ramiona i urywając swą błagalną modlitwę — pamiętaj jeno, że wskutek nieszczęść, krzywd krzyżackich, chwilami tracę to, co najdroższego ma człowiek, tracę zmysły, rozum... Ach, sprawili to oni... ci okrutni o jaszczurczych sercach rycerze, którzy bluźnierczo, niegodnie

krzyże na swych płaszczach noszą... Pytasz o ojca, matkę, o rodzinę... Ach, pytaj o nich krwawego miecza krzyżackiego... miecza... pożogi... pytaj Niemców... pytaj straszliwego Ulryka...

Nagle krzyk okropny wyrwał się z ust nieznajomej, oczy obłędem, szaleństwem zaiskrzyły się, skoczyła, jakby śmiertelnie zraniona strzałą myśliwego sarna, i pobiegła przed siebie, nie zważając na gruzy i kamienie, które wśród ruin kaleczyły jej nogi.

— Przebóg! — zawołał pan z Lipna — szaleństwo znowu ogarnęło tę nieszczęsną istotę, ofiarę krzyżackiego okrucieństwa...

Chciał pobiedz za pędzącą w dal z rozwianym włosem nieznajomą, lecz powstrzymał się, gdyż w tejże chwili z za wzgórza ukazał się jakiś orszak zbrojny.

Na okrytych zbroją rumakach, otoczeni licznym pocztem sług, jechali trzej jacyś rycerze. Słońce odbijało się w ich zbrojach, jak w lustrze, na hełmach stalowych chwiały się orle i strusie pióra.

Ujrzawszy młodą kobietę, z rozwianym włosem, pędzącą wprost przeciw nim, rycerze wstrzymali konie.

Przez chwilę porozumiewali się, co zrobić. Nagle jeden z nich, sądząc, że to pan z Lipna jest prześladowcą nieszczęśliwej, zniżył kopię i wspiął konia ostrogami.

Jak wicher, wpadł rycerz ten pomiędzy ruiny i już miał ugodzić bezbronnego rycerza kopią, gdy jeden z pachołków pana z Lipna, stojąc wśród ruin, rzucił niespostrzeżenie ciężki kamień pod nogi rozpędzonego rumaka. W jednej chwili tenże potknął się i padł na przednie nogi, a świetny rycerz stracił równowagę i przez łeb swego rumaka w ciężkiej zbroi runął na ziemię.

Zbliżył się doń pan z Lipna i pomógł mu podnieść się z ziemi.

Potłuczony rycerz spojrzał nań groźnie, lecz widząc spokojne spojrzenie pana z Lipna i jego szczeropolskie, szczerością i szlachetnością tchnące lica, uspokoił się, zdjął hełm i zapytał w języku włoskim:

— Wróg, czy przyjaciel?..

Pan z Lipna, który rozumiał po włosku, odrzekł:

— Uspokójcie się... Przed wami rycerz Jan z Lipna... Polak...

— Jam hrabia Camillo Robert de Castillo... Włoch...

— Hrabia de Castillo! — zawołał z podziwem pan z Lipna — toć na dworze króla Ludwika węgierskiego poznałem was, przed laty, hrabio!.. Przypomnijcie sobie turnieje na zamku w Budzie, podczas których laurem pierwszeństwa ozdobiliście swe czoło. Wtedy nie nosiliście zarostu, tej długiej, kruczej brody, która zmieniła was do niepoznania.

Hrabia przypomniał sobie pana z Lipna, poczem zapytał o Zawiszę Czarnego, którego poznał, jako rycerza nieustraszonego.

Do rozmawiających już przyjaźnie rycerzy wkrótce przyłączyli się inni rycerze cudzoziemscy.

Chcieli oni przytrzymać młodą nieznajomą, która biegła wprost na przeciw nich, sądzili, że ucieka przed prześladowaniem pana Jana z Lipna.

— To ofiara krzyżaków, nieszczęsna zakonnica... Jedna z tych, którym krzyżacy zabrali klasztor.

— Co zaś mówicie? — zawołał hrabia de Castillo — krzyżacy wrogami zakonów?



Rycerz krzyżacki na czatach.

— Oprócz własnej korzyści nie uznają oni nikogo i niczego! — odparł z przekonaniem pan z Lipna.

— To dziwne od was rzeczy słyszę i nie uwierzyłbym w nie, gdybym z ust waszych ich nie słyszał. Toć i towarzysze moi, Hiszpan de Morellez i dwaj Włosi, hrabiowie de Sonino, rycerze znani na zachodzie Europy, nie uwierzyliby w to, co mówicie... Zdążamy właśnie do Malborga, w którym ma czekać na nas wielki mistrz Ulryk von Jungingen. Wielu rycerzy znakomitych dąży za nami również do Malborga. Wielki mistrz przyrzeka każdemu słowem i honorem rycerskim udzielne księstwa, które na barbarzyńcach i poganach zdobędzie...

— Na jakich barbarzyńcach i na jakich poganach? — zapytał pan z Lipna.

Zagadnięty w ten sposób hrabia de Castillo zakłopotał się, na razie nie wiedząc, co odpowiedzieć. Po chwili dopiero odrzekł:

— Wielki mistrz zakonu pisze do rycerstwa zachodniego, że całe pobrzeże morza Baltyckiego, oba lesiste brzegi Wisły, Buga i Niemna jęczą w niewoli pogańskiej.

— To fałsz wierutny!.. — zawołał oburzony pan z Lipna. — Toć Pomorze, Żmudź i Litwa nie są już dziś pogańskimi. Toć Jadwiga, królowa polska, i Jagiełło, wielki książę litewski, a obecnie król polski, zanieśli tam światło nauki Chrystusowej. Sam właśne wracam z Litwy i na własne oczy widziałem, jak poganie przyjmują z rąk kapłanów chrzest święty... Niema już pogaństwa w ziemiach, o których przewrotnie wielki mistrz w swych pismach do was wspomina... Wyrywa się z rąk Niemcom Litwa i Żmudź, które od dawna niszczyli ogniem i mieczem...

Z wielkiem oburzeniem mówił pan z Lipna, tłómacząc i wyjaśniając rycerzom Zachodu, że są haniebnie w błąd wprowadzeni.

Słuchali go uważnie, ale bez przekonania.

Potęga, a zarazem zręczność Zakonu niemieckiego w oszukiwaniu i wyzyskiwaniu dobrej wiary ludzkiej była już tak wielką, że kogo obietnicami swemi ujęli, kto się w ich wężowe sploty raz uwikłał, już niełatwo się z nich mógł uwolnić...

— Słyszeliśmy o Jagielle, księciu Litwy, a teraz podobno i władcy Polski — mówił hrabia — ma to być człowiek dziki, jak niedźwiedź włosem obrosły od stóp do głów, bełkocący jeno niezrozumiale, gdyż żadnej ludzkiej mowy nie rozumie... Mówił mi o tem sam najjaśniejszy Wilhelm, arcyksiążę rakuski... Przytem upewniał, że pogański ten król, czy książę pije co rano kubek krwi ludzkiej i pożera młode koźlę, które żywcem rozdziera rękami... Okrutny barbarzyńca, dla którego najmilszą zabawą chodzenie na czworaku w towarzystwie niedźwiedzi oswojonych... Arcyksięciu, rycerzowi znanemu na całym zachodzie, trudno nie wierzyć...

Pan z Lipna poczerwieniał z gniewu.

— Kłamstwo! bezczelne kłamstwo! — zawołał. — Arcyksiążę haniebnie kłamie, mszcząc się, że mu Jadwiga, królowa nasza, nie oddała ręki... Życiem swojem to pragnę stwierdzić...

Ale cudzoziemscy rycerze niewiele zważali na jego słowa.

Każdy z nich miał w zanadrzu pismo od wielkiego mistrza, w którem tenże przyrzekał mu, że po zwycięsko przeprowadzonej wojnie w barbarzyńskiej Litwie, Żmudzi, Polsce i całem Pomorzu baltyckiem, rozda pomiędzy nich ziemie, sioła i grody liczne. Hrabiemu de Castillo przyrzekał solennie, ręcząc słowem rycerskiem, księstwo żmudzkie, Hiszpanom ol-

brzymie prowincye leżące nad Dźwiną, zaś innym ziemie nad Baltykiem nad Wisłą, Dnieprem i aż hen! nad morzem Czarnem... Wszystkie te nadania wielki mistrz słowem honoru rycerskiem poręczał. Czyżby mógł więc kłamać?.. W głowach się to rycerstwa zachodniego pomieścić nie mogło...

A tymczasem pan z Lipna wręcz co innego mówił, przysięgał, że właśnie należał do dworu króla Jagiełły, który czas długi na Litwie wraz z żoną przebywał, że pana więcej rozumnego, statecznego, miłościwszego i potężniejszego w życiu nie znał, że całe chrześcijaństwo radować się powinno tak z jego, jak i jego kraju nawrócenia...

Ale to mówił pan z Lipna, człowiek dla rycerzy zachodnich mały znaczeniem i sławą... Czyż jego słowa mogły coś zaważyć wobec słów arcyksięcia Wilhelma i wielkiego mistrza potężnego Zakonu krzyżackiego?

To też rycerze z coraz mniejszem słuchali go zajęciem, goniąc wzrokiem nieszczęśliwą obłąkaną zakonnicę, która pędząc z szybkością spłoszonej sarny, zniknęła wśród gęstych zarośli na skraju sąsiedniego boru.

Dla nich słowa pana z Lipna wydawały się stronnemi. Ujęci przebiegłemi i zręcznemi obietnicami krzyżaków, widzieli tylko ich wielkość i potęgę.

Zdobyte mieczem i ogniem ziemie krzyżaków nad Baltykiem sięgały od Odry aż po za Dźwinę i w krótkim czasie przewyższyły pod każdym względem sławne naówczas królestwa Danii, Szkocyi, Anglii i Neapolu. Dwadzieścia tysięcy wsi, dziesiątki miast i warownych grodów, dziesiątki zamków obronnych, według najnowszych wzorów zbudowanych, już wtedy posiadał zakon krzyżacki.Urzędnicy krzyżaccy wyciskali siłą podatki z podwładnej sobie ludności. Niesłychane naówczas sumy złota szły rok rocznie do ich skarbu. Przeszło pięć tysięcy marynarzy na stu okrętach broniło brzegów morskich i pomagało handlowi na ziemiach krzyżackich.

Rycerze Zachodni, którzy spotkali się z panem z Lipna, będąc przeświadczeni o potędze Zakonu, nie wierzyli w przewrotność jego, kłamliwość, okrucieństwo, brak wszelkich ludzkich uczuć, okrom dogodzenia pysze, pijaństwu i chciwości złota.

Bogactw też Zakon zgromadził w skarbcach swych wiele, bardzo wiele.

Wielki mistrz Ulryk von Jungingen mógł mawiać z przechwałką do otoczających go rycerzy zachodnich:

— Mam ja całą wieżę złota, którego mi wystarczy na zawojowanie kilku nawet takich królestw, jak Jagiełłowe.

Nic przeto dziwnego, że słowa pana z Lipna nie wywarły żadnego

prawie wrażenia na rycerzach zachodnich, dążących do boku wielkiego Ulryka.

Spostrzegł to pan z Lipna i umilkł.



— Kto jesteś?... Czego żądasz?... — pytał pan z Lipna.

— Zacny rycerzu — rzekł wtedy hrabia de Castillo — wierzaj mi, że nie lekceważę słów twoich, ale przecież sam na własne uszy słyszałem, jak Zygmunt, cesarz niemiecki i król węgierski, mówił, że Jagiełło jest dziwnym tworem natury, napoły człowiekiem, napoły niedźwiedziem.

— Cesarz Zygmunt jest wrogiem Jagiełły, wrogiem Polski i Litwy, wrogiem słowiańszczyzny... Kłamie on najbezczelniej wraz z arcyksięciem Wilhelmem rakuskim, bo solą w oczach im rozum i rozwaga pana mojego miłościwego. A że niema na świecie monarchy wspaniałomyślniejszego i dzielniejszego nad króla Jagiełłę, gotów jestem mieczem to potwierdzić. Z wszystkimi jako tu jesteście, panowie rycerze, walczyć jestem gotów, jeśli o kłamstwo słowa moje podejrzewać będziecie!

— Uspokójcie się, zacny rycerzu! — rzekł hrabia de Castillo. — Z gotowości waszej do oręża poznaję, żeście godni sławy takich rycerzy, jak Zawisza Czarny... Wiedzcie atoli, że rycerz ten nad rycerze znajduje się nie u boku Jagiełły, lecz cesarza Zygmunta...

— Jako Bóg na niebie, tak już Zawiszy przy cesarzu niema. Sam widziałem, jak wjeżdżał do Krakowa, a przy jego boku Jan Farurej, Tomasz Kalski herbu Róża, Wojciech Malski herbu Nałęcz, Dobiesław Puchała, Janusz Brzozogłowy herbu Grzymała, Jakób z Gór i inni. Wszystko to rycerze, jakim równych niemasz na świecie. Dowiedziawszy się, że cesarz niemiecki wrogo przeciw królowi Jagielle występuje, rzucili jego zamki, majątki i grody, którymi ich Zygmunt do siebie przywiązać usiłował i podążyli do Polski. Sam patrzyłem na to, jak na Wawelu Jagiełło witał ich miłościwie, zapewniając o swej królewskiej dla nich życzliwości i przyjaźni...

Po tych słowach rycerze zachodni z żywością zbliżyli się do pana z Lipna.

Wiadomość, że tacy nieustraszeni i sławni w chrześcijaństwie rycerze porzucili stronę cesarza Zygmunta, który sprzyjał Krzyżakom, bardzo ich zaciekawiła.

Nuż więc wypytywać pana z Lipna, jak wyglądał Zawisza, a Farurej, a Dobiesław, a inni?

Co gdy pan z Lipna szczegółowo im opowiedział, nawet jaką który miał zbroję na sobie, nie wątpili już, że mówił prawdę.

(D. c. n.). *Stefan Gębarski.*



Marcin Kopiec.

Z HISTORYI ŚLĄSKA.

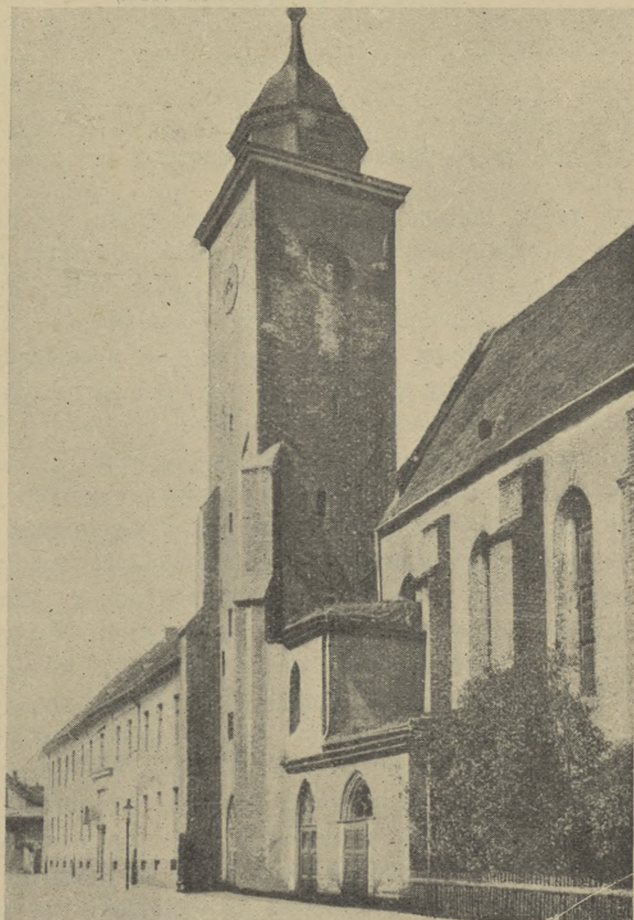
Walka z luteranizmem.

(Ciąg 17).

Upadek luteranizmu.

Długa, zgórą półtora wieku trwająca walka katolicko-luterańska wytworzyła w narodzie bezgraniczną nienawiść. Zamarła wszelka miłość bratnia. Pokolenia rodziły i wychowywały się w śmiertelnej nienawiści, bez czci, bez wiary; nie wiedziały, co Bóg, co szkoła; — co dobre, co złe. Szkół katolickich nie było. Kapłani wprawdzie przyciągali dziatwę do świątyni przed ołtarze, aby ją uczyć prawdziwych zasad wiary Chrystusowej i wszczepić w jej serca te najpiękniejsze trzy skarby Boskie: wiarę, nadzieję i miłość, lecz luteranie od bram ją odganiali i przemocą do swoich szkółek zapędzali. Luteranie byli pod opieką możnych panów, — katolicy szukali jej w prostaczkach. Ocknął się wreszcie rząd Cesarski z letargu. Przebudziły go wciąż nadsyłane do kancelaryi Cesarskiej zażalenia i skargi na bezwzględny ucisk i prześladowanie ludu katolickiego, którego władza luterańska już wszelkich praw pozbawiła. Napływały z Wiednia rozkazy za rozkazami do Namiestnictwa ziem górno-śląskich, lecz te bynajmniej stosunków wzajemnych nie poprawiały. Gdy ostatecznie nadszedł rozkaz Cesarski, żeby urzędów luteranom nie rozdawano, zakotłowało się, nietylko w górnym Śląsku, lecz we wszystkich zluteryzowanych państwach i państewkach. Nastała wprawdzie reakcya, ale rządy i lud dążyli do wojny, w mniemaniu, iż wojna rozstrzygnąć i ustalić winna panującą luterańską religię, tam, gdzie ją luteranie zdobyli. Niesłychana w dziejach świata, 30-letnia bratnio-religijna wojna chybiła celu na górnym Śląsku (1618 — 1648). Wprawdzie stosunki społeczno-religijne osłabły i oziębiły się, ale walczyć bynajmniej niezaprzestano. Administracya rządząca ziemiami Raciborsko-Opolskiemi, w której skład wchodzili członkowie, wymienieni w spisie naszym, w tymże okresie czasu, t. j. przed i po wojnie 30-to letniej, składała się już z woli Cesarza z samych katolików. Administracya ściśle wypełniała rozkazy cesarskie:

zdobyte przez luteran placówki, powracały do władzy katolickiej z powrotem. Katolicy zwolna zwyciężali i zwolna też powracali do dawnego stanu. Potwierdza nam to spis ludności stolicy Raciborza, z lat 1663 — 1668, który wykazuje, że w tych latach przemieszkiwał w mieście jeden jedyny



Kościół i b. klasztor ś-go Ducha panien Dominikanek w Raciborzu,

(dziś ewangelicki), w którego podziemiach spoczywają prochy Przemysława i syna jego Leszka, oraz cała gałąź po kądzieli Piastów-Przemyślidów z linji Ottokara II, króla czeskiego. Z lewej strony b. klasztor, dziś gimnazyum ewangelickie).

protestant, przybyły z Krosna. Dalsze lata protestantów nie wykazują. W roku 1690 z woli cesarza odbyła się wizytacya miasta i spis ludności. Protokół wizytacyjny z tegoż roku, wykazuje nam tylko jedną kobietę i paru obcych czeladników konfessyi Augsburgskiej. Taki stan trwał aż do wojny 7-mio letniej, czyli do opanowania Śląska przez Fryderyka Wielkiego. Pierwsi stali mieszkańcy luterańscy, to był garnizon wojska, nadesłany z Brandenburgii, do stolicy Raciborza, przez Fryderyka Wielkiego (1746). Za nim podążali już luterańscy urzędnicy, rzemieślnicy i wszelaki żywioł konfessyi Augsburgskiej. Przenieśli się także niemal wszyscy sukiennicy protestantcy z Bielska do Raciborza. W roku 1776 uformowano gminę cywilną z 40-tu rodzin. Do tej gminy należało 40 mężczyzn, 33 kobiet, 55 dzieci, 13 czeladników i 6 sług. Razem dusz 147. Sale magistrackie, przeznaczone na dom modlitwy, okazały się za szczupłe. Nowowybudowany kościół ewangelicki na wilgotnych gruntach podmiejskich w r. 1782, uległ prędko zniszczeniu. Na prośbę gminy ewangelickiej, wniesioną do Fryderyka III, król reskryptem Najwyższym z d. 16 Stycznia 1821 r. darował luteranom przepiękny kościół po-klasztorny Ś-go Ducha, byłych panien Dominikanek, wraz z domkiem mieszkalnym ich spowiednika. Wysoka świątynia, z wysoką wieżą wspaniale wznosi się ponad dachy miasta. Niestety, dziś zaniedbana: tynk opadł, zmurszałe mury szpecą widok... stoi, jak kościotrup bez ciała...

W podziemiach tej, dziś ewangelickiej świątyni spoczywają prochy ostatnich Piastów, krótko panującej dynastyi Raciborskiej: Przemysława († 7 V 1306 r.) i syna jego, Leszka († 1336 r.), a także i cała gałąź po kądzieli Piastów-Przemyślidów z linii Otokara II, króla czeskiego, od Mikołaja († 8 XII 1365 r.) na Opawie [1]), aż do ułomnego Walentego († 13 XI 1521 r.). Szczątki błogosł. Eufemii († 17 I 1359 r.), córy Przemysława, spoczywały tamże w kaplicy Ś-go Dominika około 500 lat. Po przejściu kościoła do rąk ewangelickich, przeniesiono je w dniu 11-m maja 1821 r. do kościoła farnego (b. kolegiaty) i złożono z wielką uroczystością w podziemiach kaplicy polskiej.

Cześć pamięci prochom waszym!...

---

[1]) Po wygaśnięciu linji Przemysława, księstwo Raciborskie przeszło drogą spadku na Annę, starszą córkę Przemysława, którą Mikołaj, na Opawie poślubił.

Zakończenie.

Jeżeli sobie uprzytomnimy zaczątek naszej historyi o procesyach Wielkanocnych młodzieży lubomskiej z r. 1672 i treść odnalezionego dokumentu, wystosowanego do Johana Brudka; — jeżeli rozważymy prześladowanie czarowników i czarownic i te srogie wyroki z lat 1663 — 1667, jakie sąd Administracyjny ziemi Raciborsko-Opolskiej na nich wydawał, to przedstawi nam się obraz ówczesnych, smutnych stosunków życiowych, które przed czujnym okiem Władz Administracyjnych ukryć się przecież nie mogły. Starostowie ziemiańscy jak Kochcicki, Fryderyk Oppersdorf, Gaszyn, Mettich, Strasznitz i przez króla Jana-Kazimierza zatwierdzony Franciszek-Euzebiusz Oppersdorf, byli tymi opiekunami praw Cesarzów Austryackich, ale wyroków zapadłych przez sądy Administracyjne, nad którymi oni sami przewodniczyli, nie łagodzili — nie umarzali, — przeciwnie, zatruci ciągłą, a nieustanną walką z luteranizmem, wyroki te bezwzględnie podpisywali.

Ostre rządy i bezwzględne sądy tej nieszczęsnej ziemi spowodowały niepohamowaną reakcyę. Odstępcy powracali z powrotem na łono kościoła katolickiego.

Niestety! ze zwycięztwem nadciągnęła chmura daleko groźniejsza i straszniejsza, aniżeli wiekowa wojna z luteranizmem, która wszystko, co dobre i szlachetne, pochłonęła. Potworzyły się w różnych okolicach górno-śląskiej ziemi koła czarodziejskie, pod przewodnictwem Dasmunków, czyli niemców-luteran. Ci to bowiem światu pokazać chcieli owoc swojej wiekowej a nieudanej walki. Lud, zrodzony w niedoli, wychowany w nienawiści, przytem pozbawiony uczuć i wszelkich szlachetnych przymiotów, dał się łatwo wciągnąć w to koło czarowników i czarownic, w którym znalazł swoje doczesne szczęście: „wolną miłość!"... Tam nie uprawiano idei Bożej, — tam przerabiano ludzi na zwierzęta.

Kawalerowie krzaczkowi, ci dzielni i odważni rycerze nocnych orgij (zebrań), jako zwolennicy i wielbiciele Dasmunka, posiadali w swoim kole nieograniczoną władzę, a ta, bardziej się jeszcze potęgowała, gdy na głowy powsadzali szyszaki, upstrzone piórami gęsiemi. Panny, mężatki i wdowy stały się wówczas jednym, wspólnym małżeństwem. Kawalerowi krzaczkowemu przysługiwały jeszcze inne przywileje. Oto, przystroiwszy głowę w pióra, mógł każdą, przez siebie upatrzoną niewiastę do koła czarodziejskiego sprowadzić, lecz nieinaczej, jak na koniu. Czyn taki przypisywano junactwu rycerza.

Najlepsze korzyści z koła czarowników zyskiwał Dasmunek ze sprzedaży przeróżnych maści i po rozmaitych cenach. Był to jeden z główniejszych warunków, albowiem kandydatka na czarownicę winna była uprzednio, czyli przed zawarciem ślubu z djabłem (na innym miejscu czytamy chrzest djabelski) pewną dozę maści, nabytej od Dasmunka lub od jego przedawczyków, wetrzeć w ciało swoje, a to w celu wywołania przyjemniejszych marzeń o wolnej miłości.

Zło podtrzymywane i szerzone przez sprytnych Dasmunków przerażająco zapuszczało trujące korzenie pomiędzy prostaczkami górno-śląskiej gleby. Nie było też na owe czasy innego sposobu, jak korzenie tej trującej rośliny odszukać, wykarczować, zniszczyć i spalić. Straszne, nerwami wstrząsające wyroki, wydawane przez sądy Administracyjne ziemi Raciborskiej, na tych nieszczęśliwych, zarażonych zapoczątkowaną wówczas kulturą zwierzęcą, już poprzednio poznaliśmy.

Działo się to za rządów namiestnika hr. Franciszka-Euzebiusza Oppersdorfa [1]), jednego z najżarliwszych obrońców wiary rzymsko-katolickiej, co w lat parę ugaszczał Najjaśniejszego króla Jana III u siebie na zamku Raciborskim. Za jego to rządów podzielono ziemię górno-śląską na tak zwane „Okręgi moralnościowe“ pod nadzorem „Starszego“, który winien był baczyć na moralność i niemoralność ludu, powierzonego mu okręgu i wszelkie poruszenia tak cnotliwe, jako też i występne, mogące uchybiać czci wierze katolickiej, przez pośrednictwo miejscowego proboszcza, donosić kapitule Raciborskiej. Takim „Starszym“ był znany nam Johan Brudek. Do jego to okręgu należały wsie Lubomia, Syrenia i inne, z występną ludnością, która przed niedawnym jeszcze czasem obałamucona przez Dasmunka i kawalerów krzaczkowych, wolnej miłości, tak srogo za swoje grzechy odpokutować musiała.

Młodzież Lubomi, jak widzimy z jej dokumentu z roku 1672, odnalezionego w aktach parafialnych przez ks. Gregora, proboszcza Tworkowskiego, ze skruchą pokutowała za swoje występki. Z drogi występku wstąpiła na drogę cnoty i moralności i kroczy po niej w procesyach Wielkanocnych, przez wszystkie czasy... aż po dzień dzisiejszy... z Panem Jezusem ukrzyżowanym i z Panem Jezusem zmartwychpowstałym na czele i kroczyć będzie nadal... na wieczną pamiątkę odrodzenia, bo dla nich pamięć wolnej miłości po wieczne czasy... przeklęta!..

---

[1]) Urząd namiestników ziemi Raciborsko-Opolskiej piastowali w różnych okresach czasu pięciu Oppersdorfów. Obecnie żyjący i rezydujący na Głogówku w Ziemi Opolskiej, Oppersdorf, ożeniony z Radziwiłłówną, wywodzi się w prostej linji od namiestnika hr. Franciszka-Euzebjusza.

A teraz zapytamy się, jakaż to różnica między dawnym kołem czarodziejskiem a nowoczesnym związkiem wolnej miłości? Różnicy tu nie widać. Nowocześni kawalerowie krzaczkowi, to dawniejsi czarownicy! Inną przyoblekli szatę, w odmiennej też występują formie!

Dawniejszy Dasmunek, jako przywódca koła czarodziejskiego, sprzedawał swoim zwolennikom maście do wcierania, które wywoływały rajskie marzenia i rozbudzały namiętność do wolnej miłości. Dzisiejsi przywódcy nowoczesnych czarowników, czyli „prezesi związków Wolnomyślnych" już to ze względu na szumny tytuł, maści wprawdzie nie sprzedają, ale drukują i sprzedają inne, jadem zatrute kosmetyki, które według ich teoryi, odrodzić mają ludzkość i wzmocnić przyszłe pokolenia.

Dzisiejsi przywódcy „uświadamiania" i wolnej miłości, to owi dawniejsi Dasmunkowie. Nie poszli oni jednakże śladami swego antenata... do lasu... ale poszli na mównicę w stolicy Polski, aby z niej ponownie siać to zło, co przodkowie nasi mieczem katowskim wyplenili. Widzimy więc, że ich nauka, to stara nauka, — ich poglądy, to stare poglądy...

Zwolennicy Dasmunka II, to czystej krwi potomkowie dawniejszych rycerzy wolnej miłości, czyli kawalerów krzaczkowych; — różnią się tylko tem, że tamci dla oznaki nakładali podczas zebrań na głowy szyszaki, upstrzone piórami gęsiemi, a ci zaś — nowocześni — przypinają sobie do klap surduta znaczki kolorowe, podpięte pstremi wstążeczkami. Nie potrzebują też uprowadzać i przyprowadzać na koniach kandydatek wolnej miłości do koła czarodziejskiego... one same... w dzisiejszych czasach chmarami ciągną za nimi, na czele swoich rozwydrzonych przewodniczek-czarownic, czyli nowoczesnych kapłanek kultury wolnej miłości.

Uchowaj nas, Boże, od tego rodzaju przewodników i przewodniczek społeczeństwa!...

KONIEC.



Drogą Świętych Pańskich.

Święty Marcin, biskup w Tours we Francyi.

Samo wyliczenie kościołów i pamiątek po całym świecie rozrzuconych, ku czci św. Marcina, dużo zajęłoby miejsca. W samej Francyi liczą ich 4,000. Wspomnimy choć niektóre. W mieście Candes, kaplica starożytna osłania miejsce, gdzie Święty Marcin oddał Bogu ducha.

Starożytne opactwo Marmontier, dziś nazywane S-te Radegonde, założone przez św. Marcina — przez długie wieki słynęło w Turyngii; było szkołą wychowującą świętych, — ludzi wielkiej zasługi. Kościół poświęcał Urban II, papież, gdy przybył dla ogłoszenia wyprawy krzyżowej 1096 r. Kościół ten przyparty był do skały, w której widniała grota, służąca za mieszkanie mnicha-biskupa. Miejsce to nazywają „Repos de S-t Martin". Obecnie w ogrodzie stoi piękna duża kaplica, — grota zabezpieczona, a w niej są kapliczki z napisami, objaśniającymi pielgrzymów. W skale bogate źródło przeczystej wody, do którego schodzi się po schodach głęboko pod ziemię. Miejsce to należy do Stowarzyszenia Sercanek i zostaje pod protektoratem Anglii [1]).

Klasztor w Ligugé jest także fundacyą ś-go Marcina — tu dokonał wielu cudów i ztąd powołany został na biskupa. Obsługują takowy Benedyktyni. W Paryżu, w Reims są kościoły starożytne pod wezwaniem ś-go Marcina. Jedna prowincya Liége jeszcze dziś liczy 63 kościołów, świętemu Marcinowi, jako Patronowi oddane.

W Holandyi podają podobnąż cyfrę z katedrą w Utrechcie na czele.

I do Ameryki przedostało się imię pracownika-obywatela, kapłana. Dwie wyspy, odkryte przez Kolumba 1494 r., otrzymały to szanowne imię.

Seminaryum w Quebec 1689 r. otrzymało od Collegium w Tours listy, zaliczające je do instytucyi pokrewnych.

Powtórzmy z poetą:

„Wszędzie, gdzie Chrystusa wyznają, i Marcina szanują".

---

[1]) W Marmontier są także sławne groby ś-go Liberta i Siedmiu braci śpiących,— dziś kapliczki.

* * *

Dotąd opowiadanie miało za przedmiot chwałę ziemską ś-go Biskupa, nie możemy pominąć smutnych wydarzeń, które potwierdzają, że różne dzieje są na świecie — radość ze smutkiem się plecie.

Napady nieprzyjaciół, rozterki religijne, gorsze od zewnętrznych nieprzyjaciół, — oto smutne koleje, na jakie jedni drugich skazują bezustannie. Kiedy się to skończy? Aż wszystko odnowi się w Chrystusie Panu.

Podczas najścia Normandów w latach 853, 856, 865 ciało ś-go Marcina przeniesione było do Orleanu, potem do Léré, wreszcie do Mariat w Owernii.

I wtedy wszelką cześć należną Biskupowi umiano okazywać. Opatowi z Marmontier towarzyszyło 20 zakonników, 12 obywateli miasta; — kanonicy dzień i noc odmawiali modły podczas drogi.

W r. 871 mieszkańcy upomnieli się o swój skarb. Podczas nowych zaburzeń relikwie przeniesiono do m. Auxerve i tam zostawały do 885 r. Podczas, kiedy ciało ś-go Marcina zostawało w tem mieście, liczne cuda wypraszali sobie wierni.

Wtedy też wydarzyło się uzdrowienie dwóch żebraków sparaliżowanych, czego oni sami najmniej sobie życzyli. „Żyjemy bez troski — mówili do siebie, — dość wyciągnąć rękę i oto ś-ty Marcin nikogo na swej drodze nie zostawia chorym — uciekajmy więc...“ [1]).

Ale moc świętego, przed którą się chcieli ukryć, przywróciła im siły... do pracy.

Powrót relikwij ś-go Marcina obchodzą w Tours pod nazwą „Revertion de S. Martin“.

I już odtąd święte szczątki nie miały się więcej tułać, a nadto stanowiły dla m. Tours zakład bezpieczeństwa. W roku 903, gdy miasto, oblegane przez barbarzyńskich najezdników, po kilkakrotnem odparciu, zwątpiło o ocaleniu, wszyscy mieszkańcy z duchowieństwem przypadli z jękiem do grobu ś-go Patrona, następnie z relikwią świętego stanęli przy bramie najbardziej zagrożonej.

I Normandowie ustąpili, a nawet Tourończycy ścigali ich do

[1]) Takich żebraków jest dziś gromada i coraz się zwiększa wskutek przedwczesnego dzielenia gruntów pomiędzy dzieci, które starych ojców zamiast utrzymywać, jak sobie to zastrzegli, wysyłają na łaskawy chleb, czyli na żebraninę.

miejscowości, która dotąd nazywa się S-t. Martin le Beau. Odprowadzili w tryumfie święte relikwie do kościoła, a pamiątkę tego wielkiego dnia święcą 12 maja.

* * *

Zdawałoby się, że wielka popularność ś-go Marcina, charakter narodowy jego kultu, powstrzyma zapędy protestantów, że przynajmniej zostawią szczątki jego w spokoju; tymczasem, co innego opowiada historya.

Nastał rok 1563. W całej Francyi wybuchła wojna na tle społeczno-religijnem — i w mieście Tours rosły zaburzenia. Hugonoci, tak nazywano protestantów francuskich, poczęli łupić kościoły, niszcząc i paląc wszystko, co się dało. Nie uszły ich zapamiętałości i święte relikwie.

Udało się jednak kapłanowi Sangeron, przełożonemu nad strażą grobu, uratować znaczną ich część.

W r. 1571 przyprowadzono ołtarz do porządku i relikwie w dawnem miejscu złożono, — Ale nie na tem koniec. Wandalizm rewolucyonistów zawsze jest bezmyślny — w okrucieństwie swem zaciekły.

W m. listopadzie 1793 r. municypalność m. Tours zabrała wszelkie cenne rzeczy kościelne, aby takowe ofiarować konwencyi narodowej. Rozumie się, że nie oszczędzono biustu drogocennego, w którym mieściła się relikwia czaszki. Dzwonnik, Marcin Lhommais, wyprosiwszy ją dla siebie, przechował; krewna zaś jego Marya Brault inną część relikwi ukryła. (W r. 1806 ku czci publicznej oddane te relikwie przez kardynała de Brisgelin).

Bazylika opustoszała, władza departamentu, pod pozorem, że restauracya była zbyt kosztowną, postanowiła mury rozebrać. Mieszkańcy ofiarowali 30,000 fr. z prośbą, żeby nabożeństwo mogło być przywróconem. Propozycyę tę odrzucono. Silne mury rozsadzano prochem, pozostały tylko dwie wieże.

W jakiś czas potem, Cesarz Napoleon I przybył do Tours. Władze miejscowe wystąpiły z powitaniem. Cesarz wysłuchał mowy powitalnej, ale nie mogąc ukryć swego oburzenia na widok zniszczenia, jakiego się dopuszczono, rzekł:

— Nie mam żadnego słowa dla tych, którzy zburzyli kościół świętego Marcina!

* * *

Po doszczętnem prawie zburzeniu bazyliki ś-go Marcina — świadkowie dawniejszej Jego chwały — w małoduszności swojej, chociaż z ściśnionem od bólu sercem, mniemali, iż wszystko przepadło — skończyło się. Wszakże kościół aż do fundamentów zniszczony, grób błogosławionego biskupa, przed którym schylali głowy mocarze świata, zniknął pod brudnymi budynkami mieszkalnymi.

Imię sługi Bożego tak rozgłośne w świecie, sponiewierane przez oszalałe tłumy szyderców i bluźniących przeciwko wszystkiemu, co ich wzywało do rozwagi i upamiętania. A gdzież była, spytaćby należało, owa gromada czcicieli i przyjaciół swego Nauczyciela i pasterza?

Odpowiedź każdy z nas sam w sobie znaleźć powinien. Czyż bowiem i za dni naszych, nie jesteśmy niemymi widzami różnych potworności? Kierując się taką bezduszną cierpliwością, stajemy się mimowolnie szerzycielami złego i burzycielami tego, czegośmy wszelkiemi siłami bronić obowiązani...

Wiadomo, że relikwie uratowane zostały — i przechowane były w katedrze; — w sercach mieszkańców tliło się pragnienie odrestaurowania grobu ś-go Patrona. W r. 1849 wybuchła w mieście epidemia cholery; — biskup Morlot, chcąc obudzić jakąś otuchę w przerażonych tą klęską wiernych, zarządził nabożeństwo i procesyę z relikwiami po ulicach miasta.

Zebrało się tysiące ludzi, a dotąd zgromadzało się w kościele najwyżej 200 do 300 osób. W tym samym dniu, po odbyciu procesyi, chorzy, o których zdrowiu wątpiono, odzyskali siły i epidemia ustała.

Zdarzenie to przyznawane wstawiennictwu ś-go Marcina, wywołało na nowo domaganie się przywrócenia dawnego stanu rzeczy.

W parę lat zawiązało się towarzystwo pod nazwą „Szatnia ś-go Marcina"; starało się ono zaopatrywać biednych w odzienie, na pamiątkę owego nędzarza, którego Marcin Katechumen płaszczem przyodział. Stowarzyszenie to uzyskało poparcie ze strony kardynała Morlot. Jeden z członków wyraził życzenie, aby odszukać resztki bazyliki i przywrócić cześć Apostoła Galii. Kardynał życzenie to wziął za cel swych zabiegów.

Wkrótce potem Ojciec św. zawiadomiony o zamiarze odbudowania bazyliki obiecał swoje poparcie z błogosławieństwem. Kardynał Morlot zamianowany został arcyb. paryskim. Po nim nastąpił biskup Guibert i ten postanowił użyć wszelkich środków dla dokonania zamierzonego dzieła.

Trudności i przeszkód nie brakło. Chodziło o upewnienie się — gdzie jest grób ś-go Marcina. Na szczęście wypadło go szukać na przestrzeni zabudowanej przez prywatne domy i takowe postanowiono nabyć.

Hr. Moisant ofiarował znaczną sumę; Guibert zwrócił się do duchowieństwa i wiernych o pomoc.

W całej tej sprawie wiele bardzo działał p. Dupont, czowiek wielkiej pobożności i prawości, zażywający w mieście poważania; umiał we wszystkiem pośredniczyć, zachęcać, godzić, sam od niczego się nie usuwając, — owszem na siebie najtrudniejsze biorąc usługi.

Przystąpiono do rozbiórki pierwszego z nabytych domów i odkryto fundamenta chóru kapłańskiego; z łatwością poznano miejsce wielkiego ołtarza. Kopano głębiej i pokazało się, że ołtarz ten znajdował się nad grobowcem samym.

Zaraz też urządzono kaplicę. Arcybiskup odprawił uroczyste nabożeństwo. Wiadomość o tak szczęśliwym rozpoczęciu robót sprawiła to, iż w ciągu tygodnia, więcej niż 20,000 pobożnych w kapliczce tej o uczuciach swych jawne dało świadectwo.

Praca szła już żywiej — uwieńczona została ogólnem uznaniem.

Po 70-ciu latach, przez których ciąg grób zostawał pod zwyczajnemi zabudowaniami, ukazał się po ich usunięciu i znowu na tem miejscu wznieśli kapłani wraz z ludem dziękczynne pienie: *Magnificat.* Zaczęły się na nowo pielgrzymki. Zbudowano tymczasową kaplicę, mogącą pomieścić 2,000 ludzi; kapelanem został ks. de Beaumont. Młody ten kapłan, odrośl znakomitego rodu, po czterech latach niezmordowanej pracy w 33 roku życia, wyczerpany na siłach, przeniósł się do wieczności.

Ś-ty Marcin okazał się i teraz możnym przyczyńcą; ściany kaplicy zapełniały się wotami na znak wdzięczności, iż prośby nie były daremne.

Każdego roku dzień 11 listopada uroczyście był obchodzony, a relikwie ś-go Marcina obnoszono po ulicach miasta we wspaniałej procesyi; biskupi błogosławili ogromne, rozmodlone rzesze. Rok 1873 upamiętnił się w życiu mieszkańców m. Tours, gdyż w tym roku cała Francya, cały naród stawił się u grobu swego apostoła, nie wyłączając Alzacyi i Lotaryngii, jakby dla zaświadczenia, iż chce pozostać wiernym wyznawcą prawdy opowiadanej przez Apostołów swej ziemi. Wskutek obudzonego poczucia religijnego i co za tem idzie, czynnego współdziałania ogółu, już po czterech latach, 1890 r. nastąpiło poświęcenie nowej bazyliki. W uroczystości tej brało udział 16-tu biskupów z kardynałem Langénieux na czele. Arcybiskup Tours Meignan w tym dniu obchodził 50-letni jubileusz swego kapłaństwa. Był on zastępcą Arcybiskupa Guiberta, który zasiadł na stolicy arcybiskupiej w Paryżu.

Pod sklepieniami nowej, wspaniałej bazyliki słyszeć można takie wezwanie:

Dziś, gdy grób ten znów świeci
W nowych cudów purpury,
Idźmy! ojców tych dzieci
Czcić popiołów marmury!

Wielki Francyi patronie!
W całej wielbion krainie,
Miej ją w swojej obronie
W niebezpieczeństw godzinie!

O, Tours! grodzie sędziwy,
Powiedz Francyi wnuczętom,
żeś ty skarb jej prawdziwy,
że relikwię masz świętą,

że grób twego pasterza
Sercem Francyi jest całej,
że ztąd dla niej uderza
Strumień wiary i chwały!

Architektura nowej bazyliki przypomina starożytne kościoły w Rawennie i piękną kaplicę we Florencyi.

Wewnętrzna harmonia linii miłe czyni wrażenie.

Wyższą część nawy podpierają kolumny granitowe z Wogezów. Część kapłańska nad kryptą, wywyższona o 10 stopni wschodowych, znajduje się pod osłoną kopuły.

Sanctuarium wyżej o 6 stopni. Ołtarz wielki nad grobem ś-go Marcina ma 4 kolumny marmurowe. Samo tabernaculum jest przepięknej formy: miedź pozłacana, cizelowana, na czterech rogach figury Aniołów, w środku cząstka relikwii, pod przezroczystym kryształem.

Kopułę podtrzymuje 20 kolumn. Malowidła odnoszą się do historyi ś-go Marcina, są jego Gloria. W murach bocznych ołtarze: Matki Boskiej i ś-go Józefa. Witraże w medalionach przedstawiają zdarzenia z żywota świętego, lub podobizny osób, głośnych w dziejach.

Do podziemia zstępuje się po wschodach z dwóch stron, krypta podparta jest 10 bogatemi kolumnami z marmuru, pochodzącego z gór szkockich.

Sarkofag marmurowy zdobią mozajki; z czterech stron grupy aniołów, strzegących grobu i trzymających godła rycerskiej i biskupiej godności.

Przez kratę żelazną, pięknego rysunku, daje się widzieć światełko lampki tu gorejącej, — i pozwala rozeznać wnętrze, które jest schronieniem świętych szczątek.

Zbliżając się do miasta, z którejkolwiek bądź strony, można wyróżnić kopułę bazyliki ś-go Marcina i dojrzeć umieszczoną na niej figurę świętego z podniesioną ręką, błogosławiącego miastu i Francyi całej, jako ojciec dzieciom.

Obecnie arcybiskupem dyecezyi Turoneńskiej jest ks. Renat-Franciszek Renou, asystent tronu papieskiego; mąż w sile wieku, poważany dla swej nauki — kochany dla swej gorliwości i dobroci, z jaką wszystkim służy i wszystkich do siebie przygarnia, wielki przyjaciel Polaków.

Pragnę, aby opowiadanie o świętym Marcinie Touroneńskim było dowodem naszej wdzięczności za łaskawe uwzględnienie prośby o udzielenie cząsteczki relikwi dla kościoła kollegiackiego w Opatowie, którego patronem od XII w. jest święty Marcin.

Marcinie święty, uproś nam dary
Pobożnego żywota
I w nagrodę tej wiary
Niebios otwórz nam wrota!

Ks. Władysław Fudalewski.



ZŁOTE MYŚLI.

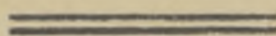
Kawałek chleba nie spadnie z nieba,
Lecz go zapracować trzeba.



Z braćmi w szeregu stań na wspólnej roli,
Do pracy wspólnej, nie do skarg i waśni;
Pomóż im dźwigać brzemię ciężkiej doli,
A bratni uśmiech czoło ci rozjaśni.



Ten wygrał w życiu najwięcej, kto umiał wyrzec się wszystkiego.



SOMO-SIERRA.

Wspomnienie.

Rzekł, huczą trąby, ostrze mieczów świeci,
Przez grad kartaczy las pałaszy leci,
Grzmi grom po gromie — i naraz ustały —
Na wierzchu szańców — usiadł orzeł biały!

(A. Gorecki— Somo-Sierra).

Temi słowy zakończył żołnierz poeta, pułkownik Antoni Gorecki, piękny poetycki opis bitwy pod Somo-Sierrą, stoczonej 101 lat temu, w której nieustraszony zastęp naszej młodzieży udowodnił, że waleczność polska nie ulega zmianie i że waleczność ta w pierwszych latach XIX wieku była równie potężną, równie wspaniałą, jak w rycerskich czasach Kirchholmu i Kłuszyna, gdy rycerstwo polskie rozbijało w puch dziesięćkroć liczniejsze zastępy nieprzyjaciół.

Jak z krwi przelanej w obronie wolności na polach Racławic, Szczekocin, Warszawy, Maciejowic, powstały legiony, tak dzięki legionom, po błyskawicznych zwycięstwach Napoleona I, odniesionych w r. 1806 nad Prusakami, powstało w Wielkopolsce w ciągu kilku tygodni kilkunastotysięczne wojsko polskie, zorganizowane, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, przez generała Jana Henryka Dąbrowskiego. Wojsko to wzięło mężny udział w dalszym boju Napoleona przeciw Prusakom, oraz spieszącym im w pomoc i zniewoliło zwycięskiego cesarza Francuzów do utworzenia Księstwa Warszawskiego.

Przedtem jeszcze, w czasie toczącej się walki przeciw Prusakom na polach Prus wschodnich, powstała myśl utworzenia polskiego pułku konnego gwardyi cesarskiej, któryby był ciągłą, nieustającą reprezentacyą polityczną i militarną polską przy Napoleonie, przypominając mu nieustannie Polskę i zaciągnięte przez niego wobec niej obowiązki. Myśl ta, w zręcznej formie poddana cesarzowi, jako pragnienie najznamienitszej młodzieży polskiej, walczenia tuż przy jego boku i strzeżenia drogiej narodowi polskiemu jego osoby, podobała się Napoleonowi. Jakoż dekretem ogłoszonym w obozie pod Finkenstein, dnia 6 kwietnia 1807 roku, postanowił cesarz utworzenie polskiego, lekkokonnnego pułku gwardyi, zwanej u nas z francuska pułkiem swoleżerów.

Do pułku przyjmowano tylko samych właścicieli ziemskich lub synów tychże, którzy musieli własnym kosztem sprawić sobie konia, mun-

dur i rynsztunek. Niemającym narazie pieniędzy dawano zaliczkę, ściąganą następnie z należnego im żołdu. Pułk otrzymał piękny mundur ułański, granatowy z karmazynowemi wyłogami i lampasami, wzorowany na dawnym stroju kawaleryi narodowej. Chociaż warunki przyjęcia były bardzo trudne, młodzież nasza, uwielbiająca Napoleona i uważająca go za zbawcę Polski, garnęła się ochoczo do pułku, który miał strzedz osoby genialnego wodza i walczyć tuż przy jego boku. W ciągu roku 1807 pułk



Napoleon pod Somo-Sierrą.

formował się w Warszawie szwadronami, a te w miarę, jak który z nich był gotów, wyruszały do Francyi.

Tymczasem na wiosnę 1808 roku Napoleon zrzucił z tronu hiszpańskiego dynastyę Burbonów, a osadził na nim brata swojego, Józefa Bonaparte. — Z nowym królem wchodziły do Hiszpanii zasady stosunkowo wolnomyślne.

Najlepsze jednak dary, najprzyjemniejsze rzeczy, narzucone gwałtem i pochodzące od najezdników, są przykre i wstrętne. To też Hiszpanie nie dali się złudzić pozorom liberalnym, wzgardzili narzuconą

swobodą i przy pomocy Anglii powstali przeciw królowi, wprowadzonemu przemocą. — Wprawdzie marszałek Francuski Bessieres odniósł nad Hiszpanami pod Rioseco świetne zwycięstwo, w którem I szwadron lekkokonnego polskiego pułku gwardyi przebył chrzest krwawy i okrył się chwałą, lecz równocześnie generał Dupont poniósł klęskę pod Baylen, wskutek czego król Józef musiał opuścić stolicę Hiszpanii i cofnął się aż do miasta Victoria, położonego nieopodal granicy francuskiej.

Tu otoczony wojskiem francuskiem, w którego szeregach znalazł się niedługo cały pułk polski gwardyi, oczekiwał przybycia swojego bohaterskiego brata. Jakoż w pierwszych dniach listopada przybył cesarz Francuzów na czele gwardyi i innych pułków i natychmiast rozpoczął zaczepne działanie przeciw Hiszpanom. Ci, pobici pod miastem Burgos, cofnęli się pod Valladolid.

Z Burgos prowadziły wówczas dwie drogi do Madrytu: jedna dłuższa, ale wygodna i nie przedstawiająca żadnych przeszkód, na Valladolid i Segowię, druga poboczna, znacznie krótsza, na Lermę, Arandę i Somo-Sierra, ale pod tą ostatnią zagrodzona pasmem gór skalistych. Napoleon, który chciał być jak najrychlej w Madrycie, a zarazem zmusić Hiszpanów, stojących pod Valladolid, bez boju do odwrotu, ruszył drogą poboczną.

Dnia 30 listopada 1808 roku, o świcie, stanęła armia Napoleona u stóp Somo-Sierry. Przez górę tę prowadziła droga, przedzierająca się stromo i kręto pośród skał, z obu stron ją otaczających. Droga wąska i w zwykłym czasie trudząca podróżnego; a tu na prawo i na lewo całą górę obsadziło trzynaście tysięcy piechoty hiszpańskiej. U wstępu do wąwozu Hiszpanie przekopali drogę w poprzek, a wyżej, w czterech miejscach, gdzie się zakręcała, postawili po 4 armaty i uformowali w ten sposób cztery półbaterye, gotowe ogniem działowym zmiażdżyć wszystko, co się przed niemi na drodze ukaże. Pozycya zdawała się niemożliwą do zdobycia...

Poranek był mglisty, tumany mgły zasłaniały górę. Hiszpanie, pewni swego, szyderczo patrzyli w stronę Francuzów.

Marszałek Besseries, dowódca całej jazdy gwardyi cesarskiej, zbadał pozycyę, o ile mgła na to pozwalała, i zawiadomił Napoleona o niesłychanej odporności. Cesarz wydał rozkazy. Piechota francuska poszła do ataku.

Pułk 65-ty, wsparty sześciu działami, posunął się naprzód gościńcem, 10 ruszył na prawo, 24 na lewo, usiłując się wedrzeć na strome stoki góry. Hiszpanie powitali atakujących rzęsistym i celnym ogniem działowym i karabinowym; — zawrzała walka.

W czasie tym polski pułk lekkokonny gwardyi stał nieco w tyle, pod wsią Bocequillas, tylko jedna kompania 3 szwadronu, która była dnia tego na służbie przy Napoleonie, złożona z czterech plutonów,

i licząca około 125 jeźdźców, pod wodzą szefa szwadronu, pułkownika Kozietulskiego, wysunęła się naprzód i stała u stóp góry, zasłonięta skałą od strzałów nieprzyjacielskich.

Piechota francuska szła naprzód z szaloną odwagą, lecz piekielny ogień Hiszpanów, dziesiątkujący jej szeregi, unicestwiał wszelkie wysiłki. Zdawało się, że góry rzeczywiście zdobyć niepodobna.

Wówczas cesarz Napoleon kazał zasypać faszynami rów, przecinanający drogę, a gdy rozkaz ten, pod gradem kul niezbyt dokładnie spełniono, zwrócił się z poleceniem do marszałka Besseries, ażeby polska kompania służbowa szwoleżerów uderzyła na półbaterye i wzięła je siłą.

Dobry i waleczny marszałek spojrzał zdziwiony i sprzeciwiając się cesarzowi, pierwszy raz w życiu zauważył, że to niemożliwe.

— Zostaw to Polakom! — odpowiedział cesarz i posłał pułkownika Pire z rozkazem do Kozietulskiego.

W tej chwili mgły opadły, słońce wyjrzało z za chmur i oświetliwszy Sommo-Sierrę, paszcze armat i karabiny hiszpańskie, w całej grozie okazało niesłychaną trudność zdobycia tej warownej pozycyi.

Pire, zgnębiony tym widokiem, posyła oficera do cesarza z przedstawieniem, iż wykonać rozkazu niepodobna — lecz cesarz wpadł w gniew niemały, uderzył pięścią o siodło i zawołał:

— „Niepodobna! niema niepodobieństwa dla moich Polaków!“

Major Filip Segur, wysłany z powtórnym rozkazem, pędzi do Kozietulskiego; zatrzymuje go w drodze pułkownik Pire i nie mogąc pojąć rozkazu cesarskiego, woła:

— „Ale chodź i zobacz, czy sam djabeł, w piekielnym wychowany ogniu, potrafi tu ugryźć!“

Segur wymyka się pułkownikowi i rozkaz cesarski Kozietulskiemu obwieszcza. Ten spokojnie formuje kompanję swoją w czwórki i komenderuje: „Naprzód!“

Błysły w blaskach słońca polskie pałasze, zagrały trąbki — zastęp nieustraszonych junaków rusza za Kozietulskim ochoczo, przesadza rów niedokładnie zasypany i pędem strzały sunie w górę ku armatom...

Hiszpanie ze zdumieniem spojrzeli na zapamiętałą garstkę straceńców, wycelowali luf tysiące i zasypali ją piekielnym gradem. — Równocześnie rykły armaty i kartaczami sypnęły...

Pod Kozietulskim pada koń zabity, wśród szwoleżerów padają gęsto ludzie i konie, ale oni nie zwalniają biegu i na oka mgnienie.

— „Naprzód! Niech żyje cesarz!“ — grzmi z ich nieustraszonych piersi, wpadają na pierwszą pół bateryę, nie zatrzymują się w przelocie, rąbią kononierów i przeganiając się pod ołowianym deszczem kul i karta-

czy hiszpańskich, jakby biegli do mety na wyścigach, cwałują ku drugiej półbateryi — biorą ją, biorą trzecią i czwartą!

W niespełna dwóch minutach piekielny wąwóz zdobyty!

Wzdłuż niego leży 57 zabitych, lub ranionych szwoleżerów, inni zostali bez koni; ostatnią półbaterye zdobywa zaledwo kilkunastu żołnierzy z jednym jedynym żywym i nieranionym dotychczas oficerem, porucznikiem Andrzejem Niegolewskim na czele. Po zdobyciu tej półbateryi i on także traci konia, a sam pada ciężko raniony.

To tak błyskawiczne zdobycie pozycyi, uznanej za niemożliwą do wzięcia, podziałało na Hiszpanów, jak uderzenie piorunu. Okrzyk rozpaczy wydarł się z ich piersi, zwątpienie i trwoga nimi owładnęły. Odurzeni i przerażeni pierzchają na wszystkie strony, w największym nieładzie, potykając się i rozbijając o skały i głazy.

Tymczasem tam, na dole, u wejścia do wąwozu, grają trąby, grzmią radosne okrzyki — to reszta szwadronów pułku polskich szwoleżerów przebiega cwałem zdobyty wąwóz, zabierając, prócz dział zdobytych, dziesięć chorągwi hiszpańskich, kilka kas pułkowych, napełnionych złotem i jeńców tysiące.

Za polskimi szwadronami podąża cesarz Napoleon. On jeden nie wątpił, że Polacy Somo-Sierrę zdobędą — więc dumny z posiadania takich żołnierzy, rozradowany, jechał wesoło, wśród sztabu swojskiego, powtarzając co chwila, na widok pokonanych trudności i spotykanych zdobyczy: „Są waleczni ci Polacy“. Aż przy czwartej półbateryi, ujrzawszy leżącego, pod zdobytą armatą, ciężko ranionego Niegolewskiego, zeskoczył z konia, przystąpił do walecznego porucznika i udekorował go krzyżem legii honorowej. Był to dzień św. Andrzeja, imieniny Niegolewskiego; młodociany bohater po raz pierwszy w życiu nie otrzymał upominku imieninowego od ojca, natomiast odebrał z rąk uwielbionego wodza dar honorowy, w nagrodę krwi przelanej za ojczyznę — tak, za ojczyznę, nie za cesarza Francuzów, nie za zdobycie czczej chwały, bo szwoleżery nasze, rzucając się z okrzykiem: „Niech żyje cesarz!“ w odmęt piekielnego ognia Hiszpanów, wierzyli, że krwią swoją okupują jej wolność i niepodległość. Nie przywiązanie do cesarza Francuzów, lub pożądanie próżnej sławy, ale miłość Polski czyniła ich nieustraszonymi i zdolnymi do wykonania cudownego niemal czynu wojennego, tem więcej podziwienia godnego, gdy hufiec polski, który zdobył Somo-Sierrę, z wyjątkiem pułkownika Kozietulskiego, oraz kapitanów: Jana Nepomucena Dziewanowskiego i Piotra Krasińskiego, składał się wyłącznie z młodzieży, która w dniu 30 listopada 1808 roku po raz pierwszy w bitwie udział brała, a dokonany czyn bohaterski był jej pierwszym chrztem krwawym.

Umieli to ocenić Napoleon i jego żołnierze — gdy nazajutrz po bitwie polski pułk lekkokonny przeciągał poprzed batalionami starej gwardyi cesarskiej, wojownicy ci, osiwiali w bojach, oddawali mu honory wojskowe i witali okrzykiem: „Chwała walecznym!“ — cesarz zaś, poleciwszy pułkowi wystąpić z dobytą bronią w szyku bojowym, stanął przed jego frontem, kazał uderzyć w trąby i bębny, a potem odkrywszy głowę, zawołał: „żołnierze, podoficerowie, oficerowie, godni jesteście należeć do starej gwardyi, uznaję was za najwaleczniejszych z walecznych!“

Napoleon, skąpy zazwyczaj w pochwałach i nagrodach, tym razem dla naszych bohaterów okazał się hojnym, bo im wiele zawdzięczał, bardzo wiele: zdobycie Somo-Sierry rozproszyło cały korpus hiszpański i otworzyło Napoleonowi bramy Madrytu. Polsce także nie samą tylko czczą sławę przyniosło; utwierdziło bowiem wysokie mniemanie o męstwie polskiem, jakie wówczas panowało w Europie, zwiększyło chwałę i powagę jej imienia, zarazem zaś wpłynęło korzystnie na usposobienie wojska i narodu polskiego. Jak niegdyś utworzenie legionów oddziałało ożywczo na nasz naród, tak wieść o Somo-Sierze spotęgowała wśród armii polskiej i narodu ufność we własne siły i nadzieję lepszej przyszłości. Uczucia te wiodły do zwycięstw zastępy polskie w r. 1809, dodawały im mocy wśród trudów wojny w r. 1812, tak, jak wogóle czasy napoleońskie i dokonane w nich świetne czyny oręża polskiego, stały się otuchą i podnietą dla narodu naszego w walkach i cierpieniach, przebytych w dziewiętnastem wieku. Stały się „tajnym funduszem“, jak nazwał je jeden z naszych znakomitych pisarzy, zasobem moralnym, z którego naród polski czerpał siły do walk, bojów i cierpień. Więc ozdóbmy wieńcami sławy pamięć naszych rycerzy z pod Somo-Sierry. Cześć im i chwała! Cześć i chwała najwaleczniejszym z walecznych!

Inż. Eustachy Śmiałowski.



Marcin Kopiec.

KRÓL SOBIESKI NA ŚLĄSKU

w Kościołach

w drodze pod Wiedeń.

Ksiądz Jan-Alojzy Ficek w Rzymie u ś-go Ojca.

Ksiądz Ficek, ukończywszy budowę swojej wspaniałej świątyni dla Matki Boskiej Piekarskiej, zapragnął widzieć Rzym, stolicę świata katolickiego i ujrzeć w nim przed śmiercią chociaż raz jeden Głowę Kościoła, Papieża Piusa IX. Chciał widzieć Głowę Kościoła; lecz nie dlatego, ażeby zadowolić ciekawość swoją, ale dlatego, ażeby wyprosić u niego osobiście łaski duchowe, tak dla swoich parafian, jako też dla wszystkich dobrodziejów - fundatorów, którzy tak hojnie zaoszczędzonym groszem dopomagali mu w budowie tej najwspanialszej świątyni górnośląskiej ziemi. Lecz niestety! Apostoł ludu i wstrzemięźliwości górnego Śląska nie miał funduszów na przejazd do Rzymu. Wszystkie swoje oszczędności i wszelkie dochody, jakie czerpał, składał w ofierze na Dom Boży, na pałac dla Królowej Niebieskiej — królowej Polskiej! Był biedny, długi płacił, koniec z końcem wiązał — ale nadziei w Bogu nie tracił.

Ale i to pragnienie czcigodnego kapłana-apostoła miało się niedługo spełnić — i spełniło się.

W roku 1854 papież Pius IX wezwał bullą papieską na zjazd do Rzymu wszystkich biskupów świata. Ksiądz Ficek, dowiedziawszy się o tem, pośpieszył do księcia Biskupa Henryka, następcy ś. p. kardynała Diepenbrocka, z prośbą o zabranie go z sobą do Rzymu, na co książę biskup nietylko że zezwolił, ale pomoc i opiekę w podróży mu przyobiecał.

Dnia 4-go grudnia 1854 roku książę biskup Henryk, wraz ze swoim przybocznym towarzyszem, księdzem Fickiem przybyli do Rzymu i niebawem też mieli szczęście razem przedstawić się papieżowi Piusowi IX.

— Witaj, sługo Maryi! — rzekł Ojciec święty do księdza Ficka. — Kapłan Piekarski o mało głowy nie stracił. Zkąd ojciec święty wie o mo-

jej działalności przy budowie świątyni Matki Boskiej Piekarskiej? Zkąd wie o mojej miłości ku Matce wszystkich Matek, przecudownej, świętej, że mnie Jej sługą mianuje?..

Rozczulony temi niespodziewanemi i zaszczytnemi słowy, rzuca się cały w łzach do nóg Papieża, — i wtedy to ks. Ficek przypomniał sobie, że ma różne prośby złożyć Ojcu świętemu. Lecz jakżeż ma te prośby złożyć, kiedy już na wstępie surowo zakazano o cokolwiekbądź prosić Ojca świętego, który w tychże czasach wszechświatowego zjazdu bisku-pów, miał tyle kłopotów, pracy a nawet i zmartwień. Zakłopotany, nie wiedział na razie co robić, lecz spojrzawszy w ojcowskie papieża oblicze, nabrał odwagi i rzekł z pokorą:

— Ojcze święty! Wiem, iż zakazano o cokolwiekbądź prosić Waszą świątobliwość, lecz ja przyrzekłem mojej duchownej braci uzyskać odpusty dla ich kościołów. Przebacz mi, Ojcze święty, i daruj mi śmiałość moją, a udziel im tych odpustów i mojemu nowemu kościołowi.

Ojciec święty, uśmiechnąwszy się łaskawie, pogroził palcem księdzu Fickowi, co miało znaczyć, że przekracza rozkaz swojej zwierzchności, ale prośby pisane, własną ręką od niego odebrał, przeczytał i podpisał.

Niezadowolony był z tego postępku książę biskup Henryk, gdyż wracając od Ojca świętego do swojej gospody, zapytał:

— Azali nie bałeś się, proboszczu, naprzykrzać Ojcu świętemu, kiedy zakazano,—kiedy Ojciec święty w tym czasie tak wielce zatrudniony, zakłopotany i ciężką nawet pracą obarczony?

— Już tak Pan Bóg naszykował — odpowiedział ks. Ficek,—żem się wcale a wcale Ojca świętego nie bał; — bałem się tylko i to okrutnie Waszej Biskupiej Mości i gdyby nie ten strach, byłbym jeszcze Ojca świętego o więcej prosił, bo mam pełne kieszenie próśb o przywileje dla kościołów i moich braci duchownych.

Prośba, którą ks. Ficek na audyencyi Ojcu świętemu wręczył, pisana po łacinie, brzmi w polskim przekładzie, jak następuje:

„Ojcze święty!.. Jan-Alojzy Ficek, kanonik honorowy katedry Wrocławskiej i pleban parafii w Niemieckich Piekarach, w tejże dyecezyi, prosi Waszej Świątobliwości jak najpokorniej, aby Świątobliwość Wasza, Kościół niedawno w tem miejscu zbudowany ku czci Najświętszej Panny Maryi, do której cudownego obrazu, tłumy wiernych pielgrzymują, równie jak wszystkie kościoły w okolicy, których Pasterze ze swemi owieczkami do zbudowania tegoż Kościoła znacznie się przyczynili, jaką duchową łaską obdarzyć... i wielki ołtarz każdego, niżej wyszczególnionego kościoła, Świątobliwość

Wasza swoją powagą Apostolską, jako uprzywilejowany na potomne czasy ogłosić raczyła“

Podpisy: Parafianie i założyciele kościoła.

* * *

„Niech się stanie według prośby“.

Rzym, dnia 14-go grudnia 1854 roku.

Pius IX.

* * *

Potwierdzamy ten dokument własnoręcznym podpisem z przyłożeniem pieczęci naszej.

Wrocław, dnia 18-go stycznia 1855 roku.

Henryk, książę Biskup.

Wiele rzeczy nieznanych i niewidzianych podziwiał ks. Ficek w Rzymie. Zwiedzał ogrody, pałace, muzea i kościoły. W kościołach odprawiał msze święte za swoich dobrodziejów, tych, którzy mu jego kościół budować pomagali. Widział Concilium oecumenicum, w którym udział brali biskupi z całego świata. Był obecnym, gdy Ojciec święty Pius IX-ty „Niepokalane Poczęcie Najświętszej Maryi Panny“ na tymże Consiulium, jako dogmat wiary świętej katolickiej ogłosił...

Po skończonej uroczystości, biskupi rozjechali się, — każdy w swoją świata stronę. I ksiądz Ficek opuścił Rzym wraz z biskupem Henrykiem. Biskup udał się do Wrocławia, a sługa Maryi do Domku Loretańskiego, aby się tam opiece Matki Boskiej polecić.

W samą wigilię Bożego Narodzenia, przybywszy do Loreto, udał się do wspaniałej świątyni katedralnej, w której przechowuje się prawdziwy domek Najśw. Maryi Panny, który Matka Najświętsza zamieszkiwała podczas swojej bytności w mieście Nazarecie. Tam, w tym domku, ksiądz Ficek, odprawił podług zwyczaju trzy msze święte i polecił się Opiece Matki Boskiej Najświętszej. Opuściwszy Loreto, ksiądz Ficek popłynął statkiem parowym przez morze do Tryestu. Tu jednakże w tym wielkim portowym mieście spotkała naszego pielgrzyma przygoda bardzo niemiła. Troska, przygnębienie, zmartwienie, rozpacz, — wszystko to, w jednym momencie zlało się na jego skołataną

głowę, i obciążyło jego biedną duszę. Oto, nasz podróżnik piekarski znalazł się w obcym kraju, w obcem mieście, bez grosza pieniędzy i bez tabakierki, swojej nieodstępnej towarzyszki. Czy mu je skradziono, lub czy je zgubił, — niewiadomo... Skamieniał z przerażenia...

— Jak ja się dostanę do domu? z czego będę żył wśród obcych? — biadał, siedząc na ławeczce w sali pasażerskiej, ściskając konwulsyjnie obiema dłońmi swoją, w krople potu obsianą z przerażenia głowę.

— Matko! przecudowna, święta! jak się dostanę do Piekar? — do Twojego Majestatu? — O, ratuj twego sługę, w jego ciężkiej niedoli...

Wtem stanął przed nim nieznany pan, a widząc rozpaczającego, obcego kapłana, rzekł:

— Widzę, iż ksiądz z dalekich stron... miarkuję też, iż niemiła przygoda spotkać go musiała.

— O, tak — odparł z pośpiechem ksiądz Ficek — nic nie mam, ani pieniędzy, ani nawet tabakierki. Wszystko, albo mi skradli, albo zgubiłem... O! gdyby tak chociaż do Wiednia się dostać, — tam już odnajdę przyjaciół!

— I jam tabaczarz, — odrzekł nieznajomy; — tabakierkę swoją dam, a także i pieniędzy dam na podróż, ile potrzeba...

Uszczęśliwiony ksiądz Ficek zapisał adres nieznajomego pana, podziękował, westchnął głęboko, a przerzuciwszy duszę swoją do ziemi rodzinnej — do Piekar — przed Majestat Najśw. Maryi Panny, kornie wyszeptał:

— Matko Przecudowna Święta, to z Twojej łaski!.. Tyś mi pomoc zesłała w osobie nieznajomego...

Przybywszy do Wiednia, niemało się zadziwił nasz podróżnik, gdy w swoim kufrze podróżnym, który wprost z portu na Wiedeń wyekspedyował, odnalazł zaginione skarby: pieniądze i tabakierę, a które w pośpiechu przy dwukrotnej rewizji rzeczy, to jest, przy wjeździe i wyjeździe z portu Tryesteńskiego, sam nie wiedząc kiedy, zamiast do kieszeni, do kuferka wrzucił.

Dnia 31-go grudnia t. r. ksiądz Ficek znalazł się u progu swojej świątyni Piekarskiej, podążył przed obraz Matki Najświętszej i w gorącej modlitwie — leżąc krzyżem — dziękował Jej za pomoc, opiekę i szczęśliwy powrót pod Jej błogosławioną Świątyni strzechę, przyrzekając sobie, że jako sługa Maryi, służyć Jej będzie i nadal wiernie, wytrwale do końca swego życia.

Codzień wieczorem po pracy, przybiegali ludzie do jego komnat witać z podróży swojego ukochanego proboszcza, a on im dziwy opowiadał, — błogosławieństwa udzielał, które z Rzymu od Ojca Świętego wyłącznie dla nich przyniósł. Pokazywał dokument, w którym Ojciec Świę-

ty własnoręcznym podpisem udziela błogosławieństwa dla wszystkich kościołów parafialnych całego dekanatu. I odtąd to, — po powrocie z Rzymu — ksiądz proboszcz gorliwiej jeszcze rozpoczął pracę szerzenia czci ku Matce Najświętszej pomiędzy ludem swojej parafii. Skupia młodzież w kółka. Zakłada stowarzyszenie pod nazwą „Zgromadzenie Maryańskie“. Zaprowadza różne nauki, ćwiczenia i rozmowy budujące. Krzewi miłość Boską i miłość bratnio-chrześcijańską w pośród swoich parafian. Sieje w sercu słuchaczy ziarna spokoju i zgody, jako najpiękniejsze cnoty ludzkie, które w plonie ludziom na ziemi dobrobyt przynoszą, a w niebie szczęśliwość wieczną gotują...

Słuchał lud swojego kapłana-przewodnika i nauczyciela, pojmował i rozumiał go, bo kapłan ten był synem tegoż ludu, był nietylko jego nauczycielem, ale doradzcą, przewodnikiem, a przedewszystkiem przyjacielem. Szedł zawsze i wszędzie z ludem w parze — jako ojciec ze swojemi dziatkami, prowadząc go przez wiarę, miarę i ofiarę do kultury i oświaty...

Nie wszystkie to jednakże były zasługi gorliwego kapłana, jakiemi się odznaczył wśród swoich rodaków. Postanowił on jeszcze założyć w Piekarach Kalwaryę, na wzór i podobieństwo Jerozolimy. Zamiarem jego było przedstawić w obrazie miejsce, uświęcone życiem i śmiercią Boskiego Zbawiciela, a ponieważ położenie Piekar nadawało się ku temu, przeto twierdził, że naśladowanie świętego miejsca i obrazowe przedstawienie męki i śmierci Chrystusa, jeszcze głębiej wniknie do serc pobożnego ludu górno-śląskiego, a głębiej i żywiej podziała, aniżeli ustne lub piśmienne opisy. Niestety, pracy tej nie dokonał. Budowy pojedyńczych kaplic i Kalwaryi dokończyli już jego następcy...

Na początku roku 1862, ksiądz proboszcz kanonik Ficek poczuł, że go siły opuszczają, że pielgrzymka jego żywota wnet się zakończy. Stawał się coraz słabszy, niby płomyk dopalającej się lampy, która długie lata przed ołtarzem świeciła.

Dnia 18-go lutego, w godzinach rannych, ten szlachetny, zacny i wzorowy kapłan, nieoceniony przyjaciel i apostoł ludu, twórca wstrzemięźliwości, gorliwy z najgorliwszych sług Maryi, oddał Bogu swego sprawiedliwego ducha, w 72 roku życia.

Wieść o zgonie tego zacnego i wzorowego kapłana rozeszła się po całym Górnym Śląsku, niby grzmot po błyskawicy. Kto tylko mógł, przybył do Piekar, aby chociaż raz jeszcze własnemi oczami ujrzeć znajome, a drogie rysy zacnego człowieka, wzorowego kapłana — dla własnego pożytku duchowego.

— Ojciec nasz! — przyjaciel nasz! — klejnot nasz! — zawodził lud przy katafalku, na którym drogie szczątki zacnego kapłana spoczywały.

W sobotę dnia 22-go lutego zwłoki niezapomnianego proboszcza przeniesiono z plebanii do kościoła Najśw. Maryi Panny, i złożono je z rozkazu księcia biskupa Henryka, w podziemiach kościoła: w pośrodku przed Wielkim Ołtarzem.

Na kondukt żałobny przybyły tłumy ludu, — nawet inowiercy i żydzi tłumnie przybywali, aby oddać ostatnią posługę zacnemu i ukochanemu kapłanowi. Z dyecezyi Wrocławskiej przybyło stu kapłanów; niemniej też przybyło z Królestwa Polskiego, Galicyi, Krakowa i Księstwa Poznańskiego, tak świeckich, jako też i zakonnych kapłanów.

Umarł, lecz żyje w ludzkiej pamięci,
I będzie żyć tak przez wieki,
Wnuk naszych wnuków łzę mu poświęci
Jeszcze w przyszłości dalekiej.

Wnuki swym wnukom będą mówiły:
„Ten kościół z pracy jest Ficka,
I pieśń też złożył ksiądz Ficek miły,
Ucząc lud śpiewać od dziecka“.

„Uczył on także, że kto szczęśliwie,
Wesoło żyć chce na ziemi,
Niechaj pracuje żwawo na niwie,
W serdecznej zgodzie z bliźnimi“.

„Niech się próżniactwa, jak ognia strzeże,
I człeka, co sieje niezgodę,
Niech w uczciwości i w ojców wierze
Wychowa dziatki swe młode“.

Tak my swych wnuków dzisiaj uczymy,
Bo tak ksiądz uczył serdeczny,
Przeminą lata, wiosny i zimy,
Spoczniem w radości przedwiecznej.

Na tem kończymy wiadomość historyczną o Piekarach, kościołku i jego obrazie świętym.

(D. c. n.)



KIN-FO.

Opowieść z życia Chińczyków.

ROZDZIAŁ II

w którym zaznajamiamy się bliżej z Kin-Fo oraz filozofem Wangiem.

Jeżeli Kin-Fo wybrał za miejsce pożegnalnej biesiady Kanton, to tylko z tej przyczyny, że sam w tem miejscu spędził najmilsze lata młodości, oraz że się chciał trochę rozerwać.

Stale mieszkał bowiem w Szang-haju i jeszcze tegoż samego wieczora powracał do domu.

Wang, nieodstępujący ani na krok swego dawnego ucznia, towarzyszył mu i teraz, nie omijając ani jednej sposobności pouczania go, choć uczeń zdawał się na to wcale nie zwracać uwagi.

Ileż w ten sposób przepadło pięknych myśli, prawdziwych ziarn mądrości! Jednak „maszyna mądrości“, jak przezwał Wanga lekkomyślny Ting — pracowała niestrudzenie.

Kin-Fo był typem północnego Chińczyka, w całem tego słowa znaczeniu. W jego żyłach ani ze strony ojca, ani ze strony matki nie było nawet kropli krwi tatarskiej, co jest w północnej części Chin zjawiskiem nader rzadkiem.

Wysoki, dobrze zbudowany, o cerze więcej białej, niż żółtej, regularnych rysach twarzy i mało skośnych oczach — Kin-Fo mógł śmiało uchodzić za kompletnie pięknego mężczyznę.

Jego chińskie pochodzenie zdradzała tylko starannie wygolona głowa z długim, czarnym jak heban, lśniącym warkoczem.

Zarost na brodzie reprezentowała tylko maleńka czarna centka pod dolną wargą, natomiast górną ocieniał piękny, miękki wąsik.

Paznokcie na centymetr długie wykazywały pochodzenie z klasy, która nie pracując, może żyć dostatnio i wygodnie. W całem obejściu i towarzyskiem ujęciu, czuć było swobodę „wielkiego pana“, który wartość swojej osoby zna doskonale. Zresztą, jak każdy chińczyk urodzony w Pekinie, chlubił się Kin-Fo z tego i każdemu, ktoby go zapytał o pochodzenie mógł z całą pewnością oświadczyć, iż pochodzi z wysokiego rodu.

Jego ojciec Thung-Hen mieszkał w stolicy, później dopiero przeniósł się do Szanghaju. Miał on, jak i większość chińczyków, duże zdol-

ności do handlu i całą duszą mu się poświęcił. Prowadził od pierwszych lat samodzielności duży interes, którego kantor główny znajdował się w Szanghaju, a oprócz tego posiadał filje w Nan-King, Tien-Tsin, Makao i Hong-Kong.

Był gorącym zwolennikiem kultury europejskiej i wszelkie jej postępy śledził z zamiłowaniem, różniąc się bardzo pod tym względem od swoich licznych współziomków.

Dzięki wykształceniu i zdolnościom szybko dorobił się olbrzymiego majątku. Handlował z Ameryką i Europą wszystkiem, co tylko produkował wielki przemysł chiński: kupował i eksportował papier, wyroby jedwabne, cukier, herbatę, miedź i żelazo.

Już w dobie przyjścia na świat Kin-Fo, szacowano jego majątek na 400.000 dolarów, lecz później podwoił jeszcze tę sumę, a nawet i potroił, dzięki nowemu interesowi, jaki się w ostatnich czasach bardzo w Chinach rozwinął.

Wiadomo, że Chiny już od dawien dawna cierpią na przeludnienie, pomimo olbrzymich obszarów ziemi, jakie zajmują. Według spisów ludności liczba mieszkańców „krainy kwiatów", jak Chiny nazywają poeci, wynosi przeszło 300 milionów, czyli czwartą część ludności kuli ziemskiej.

Chociażby Chińczyk jaknajmniej jadał, to jednak jeść musi i nawet słynące z urodzajności chińskie plantacye ryżu, prosa i t. p. takiej gromady nie wyżywią. To też znaczna liczba biedniejszych mieszkańców musi emigrować, by na obcej ziemi szukać pracy i chleba.

Największa liczba udaje się do Ameryki, zwłaszcza do Kalifornii... Ponieważ jednak w pewnym roku naliczono aż 50 milionów wychodźców chińskich w Stanach Zjednoczonych, rząd Unii wydać musiał wiele ograniczających rozporządzeń, obawiając się kompletnego zalewu rasy żółtej.

W każdym bądź razie emigracya ogarnęła bardzo szerokie masy biedaków, którzy w kraju przymierali z głodu. Pozawiązywały się wskutek tego towarzystwa, które za odpowiedniem wynagrodzeniem dawały wychodźcom pracę, a zagranicznym plantatorom dostarczały taniego, a pracowitego i zdolnego robotnika. Pięć takich towarzystw pracowało w pięciu prowincyach Państwa, szóste zaś, znajdujące się w San-Francisko, zajmowało się wynajdywaniem pracy.

Istniała jeszcze jedna agentura, zwana „Ting-Tong", która sprowadzała emigrantów z powrotem do kraju. Ta wymaga jednak kilku słów wyjaśnienia.

Chińczycy są gotowi dla kawałka chleba opuścić kraj, czynią to jedynie w ostateczności i pod warunkiem, że w razie gdyby ich zaskoczyła śmierć na obczyźnie, zwłoki ich zostaną sprowadzone do kraju i pochowane na ojczystej ziemi.

Towarzystwo „Ting-Tong“ — zwane inaczej „agenturą zmarłych“ zajmowało się tem specyalnie. Na czele tego przedsiębiorstwa stanął Thung-Hen, ojciec naszego bohatera opowiadania.

Zmarł jednak w młodym wieku wkrótce po śmierci ukochanej żony, zostawiając olbrzymi majątek jedynemu spadkobiercy, młodziutkiemu Kin-Fo.

Kin-Fo był zbyt młodym na to, aby sobie dać radę z poważnemi operacyami finansowemi i kto wie do czegoby mogło było dojść, gdyby nie pomoc Wanga, który był jego nauczycielem i przyjacielem.

Kim był właściwie Wang, zkąd przybył, jaką miał przeszłość za sobą? — Oto były główne z wielu pytań, jakie sobie daremnie sam Thung-Hen, a następnie i Kin-Fo zadawali. Faktem było to tylko, że od siedemnastu lat mieszkał przy rodzinie Kin-Fo i wreszcie został niejako zaliczony do niej.

Znamy kilka faktów, które będą mogły rzucić pewne światło na osobę Wanga.

Wiadomo powszechnie, że Chiny są państwem, w którem rewolucja gotuje się od dawien dawna, niekiedy już wybuchała i gasła i nieraz pewnie jeszcze historya będzie świadkiem poważnych zajść na terytoryum „Państwa Niebieskiego“.

W XVII wieku panowała tu znakomita dynastya Ming, która od trzystu lat z powodzeniem dzierżyła ster rządów, aż wreszcie w r. 1648 jeden z monarchów uczuł się zmuszonym wezwać do pomocy w tłumieniu rozruchów wewnętrznych króla tatarskiego, który nietylko, że zdusił bunt ale nawet podbił wojska cesarskie, prawowitego monarchę zdetronizował i sam zasiadł na tronie. Od tego czasu datuje się panowanie dynastyi tatarskiej w Chinach, oraz napływ Tatarów, którzy szybko zaczęli się mieszać z prawdziwymi mieszkańcami, zwłaszcza w klasach niższych.

Było jednak dużo rodzin, których uczucia patryotyczne zostały głęboko dotknięte. Ci traktowali tatarów jako najeźdzców, nie łączyli się z nimi, a w duszy marzyli o wypędzeniu ich z granic państwa, oraz powróceniu na tron prawowitej dynastyi chińskiej.

To też od dziesiątków lat w Chinach powstawały tajne organizacye rewolucyjne, prowadzące walkę z rządem. Zwykle jednak bohaterskie te wysiłki upadały.

Podobnież w roku 1860 wojsko rewolucyonistów pobite zostało pod Szanghajem, wielu winnych ujęto i ukarano śmiercią, garstka zaledwie zdołała się ocalić ucieczką.

Właśnie 18-go sierpnia, w chwili zupełnej porażki wojsk zbuntowanych, wpadł do mieszkania Thung-Hen człowiek uciekający przed pościgiem cesarskich żołnierzy i rzuciwszy się do nóg ojcu Kin-Fo błagał

o ratunek. Był wyczerpany i bez broni, a pogoń lada chwila mogła nadejść. Thung-Hen, jako potomek starego słynnego rodu, nie mógł być zdrajcą.

— Nie chcę się pytać i nie będę nigdy, kim jesteś, coś robił i zkąd przychodzisz, — rzekł. — Ponieważ jednak schroniłeś się pod mój dach, jesteś moim gościem i możesz się tu czuć zupełnie bezpiecznym.

Zbieg chciał dziękować, lecz zabrakło mu sił.

— Jak się nazywasz? — zapytał go Thung-Hen.

— Wang!.

W taki sposób Thung-Hen uratował Wangowi życie z narażeniem własnego, gdyż niechybnie byłby zginął, gdyby się wydało, że udzielił schronienia powstańcowi.

Od tego pamiętnego dnia został Wang w domu swego dobroczyńcy.

Nikt go o przeszłość nie pytał, nikt nie narzucał mu się nawet najmniejszem pytaniem. Była to znana w prawdziwych chińskich domach delikatność; może jednak obawiano się również, aby nie usłyszeć zbyt wiele. Obozy rewolucyonistów dzieliły się bowiem na cztery kategorye: czarnych, czerwonych, żółtych i białych. Z tych jedni walczyli ogniem, drudzy sztyletem, inni trucizną, inni jeszcze w otwartem polu. Ponieważ jednak wybuch w r. 1860 wszystkie partye połączył, nie można się było domyśleć, do której z nich Wang należał.

Kto jednak wówczas mógł poznać w Wangu mordercę, podpalacza lub truciciela, dziś miał przed sobą tylko poważnego uczonego, filozofa w wieku lat pięćdziesięciu, moralizatora w olbrzymich okularach w drewnianej oprawie na nosie, posiadacza długich osiwiałych już wąsów, mędrca, posiadającego w głowie wszystkie 80,000 znaków pisma chińskiego, oraz wysokie godności, przysługujące w Chinach ludziom uczonym.

Czy dawny powstaniec zupełnie się zmienił, czy wyrzekł się na zawsze swych wojowniczych przekonań, trudno było osądzić.

Nie poruszajmy jego przeszłości, — bądźmy i my po chińsku delikatni.

ROZDZIAŁ III

w którym czytelnik bez trudu poznaje miasto Szanghaj.

Chińskie przysłowie mówi:

„Gdy szable rdzewieją — błyszczą rydle, — gdy więzienia świecą pustkami — napełniają się śpichlerze, — gdy progi świątyń wytarte są

nogami wiernych, — schody sądowe zarastają trawą, — gdy lekarze chadzają pieszo, a rzeźnicy jeżdżą — wtedy państwo jest rządzone dobrze!"

Przysłowie jest dobre. Z powodzeniem można byłoby je zastosować do wszystkich państw Starego i Nowego świata. Ale jeżeli jest jedno państwo, w któremby ludzie wzdychali i goręcej pragnęli ziszczenia się pięknych, w przysłowiu zawartych życzeń, to państwem takiem są Chiny.

Tu szable błyszczą, a rydle rdzewieją, więzienia są przepełnione, śpichlerze puste. Rzeźnicy częściej chadzają pieszo, niż lekarze, w sądach nie brak oskarżonych i oskarżycieli.

Bo czy zresztą może istnieć idealny porządek w państwie, liczącem 180,000 mil kwadratowych obszaru? W każdym razie sam Chińczyk zlekka w to wątpi.

Najwyżej chyba sam cesarz, który żyje zamknięty w swoim pałacu, ogrodzony potrójnym murem miejskim, ten „Syn nieba", ojciec i matka swych niezliczonych poddanych, dziedziczny samowładca, przed którym wszystko w pyle się korzy — on tylko jeden może myśleć, że w państwie jego jest tak dobrze, jak nigdzie na całym świecie. Daremne byłoby nawet usiłowanie wyprowadzenia go z błędu. „Syn nieba", jak swego monarchę nazywają Chińczycy, jest podobno nieomylny...

Mieszkanie naszego młodego bohatera Kin-Fo położone było w angielskiej dzielnicy Szanghaju, która tworzyła jakby miasto w mieście, tak różne jednak od reszty, jak różną jest naprzykład kultura chińskiego i europejskiego świata.

Właściwie miasto Szanghaj położone jest na lewem wybrzeżu małej rzeki Huang-Pu, dopływu wielkiego Jan-Tse-Kijangu.

Tworzy rodzaj owalu, rozciągniętego z północy na południe, ogrodzonego wielkim murem, w którym pięć bram prowadzi na przedmieścia.

Z lotu ptaka podobne jest do olbrzymiej sieci wązkich, wyboistych uliczek, nigdy nie zamiatanych; w ciemnych sklepach, których tu pełno, uwijają się napół nadzy kupcy; ruchu kołowego prawie że niema; — kilka świątyń chińskich obok kościołów chrześcijańskich; miejsce rozrywek stanowią herbaciarnie, oraz plac parad wojskowych, do niedawna jeszcze zasiewany ryżem; w niewielkich, brudnych domkach mieszka przeszło 200,000 mieszkańców, trudniących się przeważnie handlem.

Oto w kilku słowach skreślona panorama miasta, niezbyt nęcącego jako miejsce zamieszkania, mimo to pierwszorzędnej doniosłości punktu handlowego.

Tu po raz pierwszy rząd pozwolił na otwarcie kantorów firmom cudzoziemskim. Miasto to było dla kupców europejskich bramą do Chin. Za odpowiednie wynagrodzenie roczne wydzierżawił rząd kawał ziemi cu-

dzoziemcom, którzy założyli tu swoją odrębną dzielnicę, zamieszkując ją w ilości około 2,000 osób.

O posiadłościach kolonii francuskiej niema nawet co mówić, tak są niewielkie. Przytykają z jednej strony do północnej części miasta, z drugiej graniczą z kolonią angielską, od której dzieli je mała struga, zwana Jang-Kong-Pang. Znajduje się tu kościół zakonu Jezuitów, którzy oprócz tego w pobliżu Szanghaju posiadają Seminaryum, w którem młodzi chińczycy kształcą się na kapłanów.

Terytoryum amerykańskie, położone na południe od francuskiego, posiada pierwszorzędny, według wszelkich wymagań nowoczesnych, urządzony, hotel Astor, kościół misyonarzy, oraz doki, gdzie naprawiają uszkodzone statki europejskie.

Najlepiej jednak prezentuje się kolonia angielska, położona nad samem wybrzeżem rzeki. Domy pobudowane na europejski sposób, położone w przepysznych ogrodach, ulice starannie wybrukowane i utrzymane w porządku, odbijają niezwykle od niepokaźnych i brudnych uliczek reszty miasta. Tu znajdują się agentury pierwszorzędnych handlowych firm angielskich, klub angielski, teatr, sala balowa, plac wyścigowy i biblioteka.

Jest to istotnie najpiękniejsza część miasta, i Szanghaj słusznie się nią chlubi.

Przystań na rzece roi się od statków, łodzi parowych, gondoli, łódek chińskich, zwanych dżonkami, rój ludzi, zajętych pracą przy ładowaniu i wyładowywaniu towarów, stanowi dla cudzoziemca narazie widok osobliwy i niezwykły. Wkrótce jednak zaczyna męczyć i nużyć jednostajnością. Aby czytelnikowi dać wyobrażenie o olbrzymim ruchu portowym, powiemy, że zatrudnia on około 40,000 osób, czyli piątą część mieszkańców całego miasta. Pracuje tu jednak klasa najuboższa.

Obydwaj nasi przyjaciele postępowali wolnym krokiem wzdłuż wybrzeża, kierując się ku domowi. Dokoła nich uwijał się cały rój ludzi, pracujących, handlarzy i przekupniów, marynarzy najrozmaitszych narodowości, woziwodów, wróżbiarzy, pobożnych bonzów, kapłanów katolickich, noszących się na sposób chiński — żołnierzy, policyantów, agentów handlowych, załatwiających interesy różnych firm cudzoziemskich.

Kin-Fo posuwał się wśród tej masy, z miną jak zwykle obojętną.

Nie interesowało go nic. Nie zaciekawiał go brzęk najrozmaitszego gatunku monety, której przechodziło tu z rąk do rąk mnóstwo. Wiedział, że gdyby mu przyszła fantazya, mógłby zakupić za gotówkę całą tę dzielnicę z jej ruchem i handlem.

Wang zaś, jak przystało na dostojnego chińczyka, kroczył, przysło-

nięty od słońca olbrzymim, żółtym parasolem, pomalowanym w fantastyczne czarne figury.

Od czasu do czasu uwagę jego zajmowała jakaś rzecz godna jego czcigodnej uwagi, wtedy popatrzał na nią uważnie i nie zatrzymując się, szedł dalej.

Przechodząc koło „Wschodniej bramy“ — zauważyli na placu kaźni dziesięć głów zatkniętych na bambusowych tyczkach.

— Rząd też niema nic lepszego do roboty, jak głowy ścinać — mruknął niezadowolony Wang.

— Lepiej byłoby daleko, gdyby się starał uczyć szerokie masy, zakładał szkoły.

Kin-Fo zdziwiły trochę słowa wypowiedziane przez starego Tai-Ping, jak nazywają w Chinach spiskowców, nie odezwał się jednak nic i postępowano w milczeniu dalej.

W pobliżu posiadłości francuskich powszechną uwagę wzbudzał mężczyzna nieokreślonego wieku, w niebieską szatę przybrany.

— Sien-cheng, — rzekł filozof.

— Cóż nas to obchodzi? — mruknął Kin-Fo.

— Przyjacielu — rzekł Wang — zapytaj go o swoją przyszłość. Ponieważ się żenisz, będzie to nawet bardzo na czasie.

Kin-Fo, nie mówiąc słowa, chciał iść dalej, lecz Wang przytrzymał go za rękaw.

Sien-cheng jest to typ pospolitego wróża, który za parę sapeków przepowiada przyszłość. Za środki służy mu tylko talia kart, składająca się z 64, na których znajdują się wypisane rozmaite przepowiednie, postacie bóstw, ludzi i zwierząt, oprócz tego posiada ptaszka w klatce, zawieszonej zwykle na guziku kaftana.

Łatwowierni Chińczycy, których nie brak we wszystkich klasach ludności, przywiązują do przepowiedni tych dosyć dużą wagę.

Na skinienie Wanga „prorok“ rozesłał na ziemi mały dywanik, zmieszał karty i rozłożył je stroną zapisaną ku ziemi, poczem otworzył klatkę. Mały ptak wyskocył na dywanik wyciągnął dziobkiem jedną z kart, odwrócił ją, i nagrodzony jednem ziarnkiem ryżu, z powrotem wrócił do klatki.

„Sien-cheng“ wziął kartę do ręki.

Wyobrażała podobiznę mężczyzny, obok znajdował się napis w języku oficyalnym mandarynów północnych, który jest w użyciu u wszystkich ludzi dobrze wychowanych. Wróżba przynosiła Kin-Fo dwieście tysięcy lat najprawdziwszego szczęścia...

— Chcę rok tylko, słyszysz? — zawołał Kin-Fo — resztę chętnie ci daruję!

Poczem rzuciwszy wróżbiarzowi srebrną monetę, ruszył dalej.

Przeszedłszy przez dzielnicę francuską, przyjaciele skierowali swe kroki w stronę posiadłości angielskich, na których terytoryum znajdował się dom mieskalny Kin-Fo.

Przechodząc koło przystani europejskiej, ujrzeli kilkanaście parowców, które właśnie wyładowywano. Ładunek stanowił, niestety, artykuł, bez którego mieszkańcy Chin z pożytkiem dla siebie mogliby się byli obejść. Było to opium, trucizna, którą dobrowolnie zatruwają się tysiące mieszkańców, mimo kar, jakie za to rząd wyznaczył.

Opium sprowadzają do Chin Anglicy, którzy zarabiają rocznie na tym handlu około stu miljonów rubli. Pomimo zakazu prawa, które zabrania chińczykom sprzedaży tej trucizny, dzięki nieuczciwości urzędników handlowych, opium rozchodzi się z łatwością po całym kraju, wszędzie szerząc spustoszenie, wśród biednej ludności.

Naturalnie ani Kin-Fo, ani Wang nie hołdowali temu nieszczęsnemu nałogowi i ani jedna fajka opium nie postała nigdy wśród ścian ich domu.

Widok statków, naładowanych trucizną, zbudził przykre refleksye w umyśle Wanga.

— Zdaje się, że możnaby coś lepszego wymyślić, niż trucie ludzi! — mruknął. — Dobra rzecz handel, lecz filozofia, to coś trochę lepszego! Ludzie przedewszystkiem starać się powinni o to, aby zostać filozofami! Inaczej wtedy byłoby na świecie!

(d. c. n.)



ZŁOTE MYŚLI.

Bohaterskich wieńców wart,
Choć go nie chwalą chwalce —
Ten, kto zachował duszy hart
W codziennej z życiem walce.



Echa świętokradztwa.

W Jekaterynosławiu, podczas rewizyi, w mieszkaniu niejakiej Grykorii Wierbowoj, policya wykryła cenne przedmioty, które wzbudziły podejrzenie, iż pochodzą z kradzieży jasnogórskiej. Niezwłocznie władze policyjne w Jekaterynosławiu zawiadomiły o tem wykryciu naczelnika powiatu Częstochowskiego, który zażądał, aby zatrzymane przedmioty nadesłano do Częstochowy, celem sprawdzenia w klasztorze, czy stamtąd pochodzą.

W środę właśnie pocztą nadeszła przesyłka, zawierająca: 1 zegarek złoty damski, 1 łańcuch złoty damski, 1 medalion złoty, 4 pierścionki złote z różnemi kamieniami, 10 kamieni ametystów, z których 5 dużych, jak stwierdził jubiler częstochowski p. Szefler są fałszywe, a 5 małych prawdziwych i 151 pereł drobnych, nawleczonych na nitkę. Naczelnik niezwłocznie o tem zawiadomił O. Bazylego, prosząc by stwierdził, czy przedmioty te pochodzą z Jasnej Góry. O. Bazyli objaśnił, że takie same znajdowały się na krzyżu u stóp obrazu łaskami słynnego, jednakże nie może zapewnić, iż to są te same.

Zapytywano też kościelnego Antoniego, który stale ołtarz Matki Boskiej Częstochowskiej obsługuje i najlepiej mógłby je rozpoznać. Antoni oświadczył, iż nie pamięta, aby te przedmioty na ołtarzu znajdowały się. Wierbow przed kilku tygodniami została aresztowaną aż do wyjaśnienia sprawy, a podczas śledztwa zeznała, że niektóre przedmioty kupiła w Charkowie, w lombardzie, pierścionek jeden zaś dostała od matki w prezencie. Ceny, jakie Wierbowa wskazała, odpowiadają, na jakie ocenił te przedmioty p. Szefler, wobec tego i powyższego orzeczenia

w klasztorze, upada podejrzenie, aby przedmioty te pochodziły z Jasnej Góry. W każdym razie władze nie dają za wygrane i w dalszym ciągu będą badały pochodzenie przeprowadzając śledztwo w charkowskim lombardzie.

Wierbowa pochodzi z gub. Kurskiej, jest niezamężną, liczy lat 35, niegdyś była w klasztorze aspirantką do stanu zakonnego, obecnie jest właścicielką domu w Jekaterynosławiu.

Nowa korona.

Z Rzymu nadesła wiadomość, że korona ze złota i dyamentów, ofiarowana przez Ojca świętego Matce Boskiej Częstochowskiej, jest już gotowa. Wartość jej wynosi 100,000 fr. Korona doręczona będzie niebawem dla przewiezienia do Częstochowy delegatom, mianowanym i przysłanym tam przez biskupa kujawsko-kaliskiego, ks. Zdzitowieckiego, oraz gen. Paulinów, ks. Rejmana.

Zabezpieczenie obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej.

Jak po wieży drewnianej, która tyle razy w historyi Jasnej Góry zaznaczała się pożarami, a w r. 1669 stała się przyczyną pożaru kościoła wielkiego, dziś stoi wspaniała żelazna, wyłączając wszelkie niebezpieczeństwo, tak też i po ostatnim wypadku świętokradztwa nadeszła kolej na zabezpieczenie takie samego obrazu Najśw. Maryi Panny Częstochowskiej, na jakie dzisiaj sztuka techniczna zdobyć się mogła. Dawniej nikt nie pomyślałby o potrzebie zabezpieczenia świętości narodowej, dziś wprost wskazało to świętokradztwo. Oto pod kierunkiem architekta Jasnogórskiego, p. Szyllera, zakład artystyczno-ślusarski p. Szymańskiego w Warszawie przygotowuje ogniotrwałą zasłonę na obraz z takimiż trzema ścianami, w ten sposób, że na zewnątrz zabezpieczenie to nie będzie raziło.

Gdy nową koroną i sukienką obraz zostanie przyozdobiony, będzie już miał zabezpieczenie trwałe. Nadto krata żelazna, oddzielająca tę część kaplicy, gdzie się znajduje obraz M. B. Częstochowskiej, nie dosięgała do sklepienia — urządzenie to, trwające kilka wieków, niestety, na obecne czasy nie wystarczyło, i p. Szyller również wykonał rysunek na przedłużenie tej kraty do samego sklepienia.





Przeciw oszczerstwom.

J. E. ks. administrator dyecezyi wileńskiej występuje z energicznym protestem do władz z powodu artykułu *Rossii,* w którym była zdana sprawa z przemówienia archimandryty Joana i opatrzona odpowiednimi komentarzami.

Archimandryta miał odczyt w Moskwie, w którym powiedział, że księża katoliccy na Litwie, dla skłonienia prawosławnych do przejścia na katolicyzm, używają następujących sposobów:

„Główną uwagę zwrócono na rodziny, gdzie mąż i żona są różnych wyznań. Tam, gdzie mąż jest katolikiem, ksiądz uczy go bić i gnębić żonę, dopóki nie zniszczy w niej przywiązania do wiary ojców. Żonie katoliczce poleca porzucić prawosławnego męża i pozostawiwszy go bez pomocnicy i gospodyni w chacie, zrujnować do ostatka, gdyż chłop na gospodarstwie bez baby obejść się nie może. Duchownego prawosławnego wezwanego do udzielenia ostatniej pociechy religijnej, ksiądz nie pozwala wpuścić na próg izby; chorego do spowiedzi i Komunii wynoszą na mróz. W celu przyłączenia Białorusinów do katolicyzmu nie pogardzają nawet takimi środkami, jak spajanie wódką. Tego, na kogo zwrócono uwagę, w dni niedzielne upajają do utraty pamięci i nakazują mu podpisać prośbę o przejście z prawosławia na katolicyzm“.

Narówni z księżmi prześladują prawosławnych ziemianie Polacy.

„Po księdzu wychodzi pan — powiada archimandryta Joan — od którego włościanin Białorus znajduje się często w zupełnej ekonomicznej zależności“.

— Wy psy jakieś! — krzyczy on (ów pan) — wasza wiara psia!

Poczem rozpoczyna się naganka.

„Prawosławnym odbierają robotę, pola ich pustoszą, studnie zasypują, bydło zapędzają, często gubią zupełnie“.

Z energicznym protestem przeciwko temu zarzucaniu księżom dyecezyi wileńskiej zbrodniczego niemal postępowania wystąpiły oba polskie dzienniki wileńskie. *Kuryer Litewski* pisze:

„Tak daleko w oskarżeniach swych przeciwko katolicyzmowi i polskości w kraju naszym nie zaszedł już oddawna żaden obrońca prawosławia, posiadający szczególniej święcenia duchowne. Wszelkie granice zostały tu przekroczone, wszelkie względy kopnięte nogą. Lecz nie orzekajmy nic przed czasem. Sprawa będzie wyświetlona. Wystąpienie archimandryty Joana ma wszystkie cechy wielkiej państwowej usługi lub też podburzania jednej części ludności przeciwko drugiej — o ile fakty tego nie są prawdziwe. Udowodnić je musimy, żądamy prawdy.... Cała opinia w kraju, wszystko co katolickie i polskie, głęboko jest wzburzone“.

Goniec Wileński protest swój kończy w następujący sposób:

„Wszystkie zaś owe wódki, mrozy, postrachy żon, lub mężów, są to wierutne kłamstwa. Sądy w kraju naszym zawalone są obecnie sprawami księży. Wyroki jednak inkryminują duchowieństwu naszemu usterki formalne przy regestrowaniu przejść z prawosławia na katolicyzm, nie zaś potworne i nieetyczne sposoby, wylęgające się w głowach naszych oszczerców. Faktów takich, gdyby rzeczywiście istniały, nie pominęłyby przecież ani administracya, ani sądy, ani *Wilenskij Wiestnik*“.

„Nie my więc, katolicy, kraju tego odwieczni mieszkańcy, którzy z braćmi wschodniego obrządku żyjemy w zgodzie i miłości, jeno przybysze z nad Wołgi, Oki i Newy, co tu chcą robić karyery, dmuchają w popieliska nasze i jątrzą zabliźniające się rany.

„Nie my, zmęczeni próbami i prawami wyjątkowemi, szukamy rozłamu i waśni, jeno ci, co na przywilejach i stanach wyjątkowych byt swój w kraju naszym opierając, szukają nie dobra państwa, lecz tylko interesu własnego.

„Niech władze państwowe wystąpią i zaświadczą, kto tu u nas w spokojnem Wilnie sieje intrygi, kto woła o prawa wyjątkowe, kto kuje fałszywe donosy i kto istotnie cierpi. Tego się domaga sprawiedliwość elementarna, tego się domaga stanowisko bezstronne i godność władzy miejscowej i tego się domaga spokój i dobro ludności rdzennej obu kościołów. Czekamy“.

Przegląd prasy. „Gazeta Polska“ w Chicago, licząca już 37 lat istnienia, w ostatnich czasach przedstawia się, jak na amerykańskie stosunki, wspaniale. Oprócz licznych illustracyj z ostatnich wypadków światowych, „Gazeta Polska“ powzięła szczęśliwą myśl zaznajomienia Polaków w Ameryce zamieszkałych z ojczystemi pamiątkami i dotąd zamieściła piękne illustracye i opisy: Częstochowy, Krakowa, Warszawy, Wilna, Zakopanego i t. d.

Część literacka, pozostająca w rękach panów: F. Iwanowskiego i St. Osady, również nie pozostawia nic do życzenia.

Z przyjemnością notujemy ten dodatni fakt i zasyłamy kolegom z za oceanu życzenia wytrwałości w dalszej pracy.

Książeczki podatkowe. Z pod Zambrowa, w stronach łomżyńskich, piszą do „Gazety Warszawskiej“:

W naszym powiecie łomżyńskim naczelnik wydał do wójtów rozporządzenie, aby każdy gospodarz opłacający podatki, miał osobną książeczkę, w której sołtys przy odbiorze podatku będzie z niego kwitował. Drukarnia gubernialna (rządowa) w Łomży zażądała za druk tej książeczki aż po 25 kopiejek od każdego egzemplarza, złożonego z czterech stronic. Wówczas pełnomocnicy gminni zamówili książeczki w drukarni nierządowej. Każda z nich ma 16 stronic druku, a koszt wyniósł po 12 kopiejek od egzemplarza. Gdy się dowiedziano o tem w urzędzie gubernialnym, przysłano do wójta zapytanie, dlaczego pominął drukarnię gubernialną. Wójt odpisał, że uczynił to w porozumieniu z pełnomocnikami gminnymi, ze względu na znaczną różnicę kosztu. Jeśli inne gminy u nas nie postąpiły tak, jak gminny w powiecie łomżyńskim, to znaczne pieniądze poszły napróżno. Obliczyć łatwo. Jeśliby dla jednej gminy potrzeba było tylko 500 książeczek podatkowych, to dla 70-ciu gmin w guberni łomżyńskiej potrzeba 35 tysięcy książeczek. Jeśli je zamówiono w drukarni gubernialnej, to niepotrzebnie zapłacono za nie 4 tysiące i 550 rubli nadwyżki. We wszystkich gminach Królestwa Polskiego, a jest ich 1,288, nadwyżka ta wyniosłaby blizko 100 tysięcy rubli. A przecież drukarnie gubernialne zarabiają niemało na innych różnych książkach. Wreszcie trzeba zauważyć, że wprowadzone obecnie książeczki podatkowe często nie na wiele się przydadzą, gdyż wielu jeszcze sołtysów nie umie pisać. Czy nie lepiej byłoby za te pieniądze kilka szkół pobudować?

Konstanty Długoborski.

W szkole pruskiej. Przed sądem karnym w Poznaniu stawał nauczyciel wiejski Maks. Küssner, Niemiec z polskiej wsi Minikowa. Akt oskar-

żenia zarzucał mu, że przekroczył znacznie prawo cielesnej chłosty wobec uczennicy polskiej, Stanisławy Olejniczakówny. Nadmienić wypada, że nauczyciel ten był już kilkakrotnie karany dyscyplinarnie za podobne przestępstwa.

Przed sądem tłómaczył się, że nabrał przekonania, iż Olejniczakówna rozmyślnie wzbraniała się odpowiadać w języku niemieckim i że z tego jedynie powodu traktował ją „nieco surowiej“. Jakiego rodzaju było to nieco surowsze obchodzenie się z polskiem dzieckiem, wyjaśniła rozprawa. Dnia 14 stycznia wymierzył on Olejniczakównie na lekcyi rachunków, 4 „łapy“, (silne uderzenie trzciną) na jedną i 8 „łap“ na drugą dłoń; w kilka dni później wymierzył jej 6, dosłownie sześć policzków całą dłonią.

Na zapytanie sędziego, czy policzkowanie uważa za odpowiedni i dozwolony środek wychowawczy, odpowiedział oskarżony, że „w niemieckich książkach do czytania, policzek w porę użyty zachwala się jako odpowiedni środek wychowawczy — przyjęty jest u ludu — on go uważa jedynie za dozwolony w koniecznej potrzebie“.

Dalej 17 stycznia, podczas lekcyi czytania, zadał Küssner Olejniczakównie wielką liczbę razów „kijem brzozowym“ przez ramiona i kark tak, że kij się połamał. Podobną chłostę otrzymało dziewczę 19 sierpnia. Dnia 21 sierpnia miał oskarżony w nadzwyczaj brutalny sposób poniewierać to dziecko, zadając mu 18 do 20 uderzeń kijem przez ramiona i plecy i kilka uderzeń pięścią w głowę. Zbił je w ten sposób dlatego, że nie umiało pokazać na mapie rzeki Warty; poprzednio ukarał je, że nie umiało tworzyć zdań niemieckich.

Dziewczynka była po tem skatowaniu kilkanaście dni obłożnie chorą.

Ośm dzieci powołanych na świadków potwierdziło jednozgodnie przytoczone przypadki barbarzyńskiej chłosty. Lekarz Schultz znalazł u dziewczynki ramiona, łopatki i plecy okryte sińcami i miejsca krwią nabiegłe; lewe ramię było tak napuchłe, że pacyentka nie mogła niem władać cztery tygodnie, którego to czasu było potrzeba, aby przyszła do zdrowia.

Prokurator uznał oskarżonego w całej pełni winnym cielesnego sponiewierania; zaznaczył pomiędzy innemi, że kija, którego oskarżony używał w szkole, można użyć chyba w „wolarni“. Wniósł też o ukaranie oskarżonego na mocy par. 340 kodeksu karnego (przestępstwa w urzędzie) 200 mar. grzywny, odnośnie 20 dniami więzienia.

Po dłuższej naradzie sąd wydał wyrok brzmiący tylko na 40 marek grzywny, względnie 4 dni więzienia. Kara w danym przypadku wypadła tak niezwykle łagodnie dlatego, że sąd w odnośnych przestępstwach do-

patrzył się tylko lekkomyślnego obrażenia cielesnego, popełnionego w urzędzie.

Godnym uwagi jest fakt, — jak rozprawy wykazały, — że z urzędujących w Minikowie swego czasu nauczycieli jeden z powodu „przeciążenia pracą“ zapadł na nieuleczalną chorobę umysłową, drugi na suchoty. Takie skutki wydaje pruski system szkolny w dzielnicach polskich.

Dzielny człowiek. Jeden gospodarz rolny z Miechowskiego, będąc dnia 7-go stycznia w Będzinie, w pobliżu kopalń węgla, zgubił zawiniątko, w którem było 320 rubli w papierkach. Rozpacz go ogarnęła, bo gdzież tu w mieście, pełnem ludzi szukać teraz takiej zguby! Napewno ktoś już podniósł z ziemi zawiniątko, a zobaczywszy, co się w niem znajduje, zabrał pieniądze jak swoje. Stoi więc gospodarz na ulicy, ręce załamuje i rozpacza głośno, boć to nie lada co, zgubić przeszło 300 rubli! Zebrała się dokoła niego gromadka ludzi, aż tu zbliża się jakiś robotnik i dowiedziawszy się, o co idzie, zapytuje, jakie to były pieniądze i w co zawinięte. Gospodarz odpowiada, a wtedy robotnik wyjmuje z kieszeni znalezione zawiniątko i oddaje właścicielowi. Jakaż była radość gospodarza, gdy zobaczył swoją zgubę! Ale trzebaż wynagrodzić znalazcę! Więc gospodarz wyciąga 5 rubli i podaje mu, dziękując serdecznie za oddanie zguby. Ale robotnik nie chciał wziąć zapłaty za swoją uczciwość. — „A czy to raz — rzecze do gospodarza — upadnie komu laska, a ktoś ją przez grzeczność podniesie?... Nie widziałem, żeby kto komu za taką przysługę płacił!“

Ze Śląska.

Przewielebny Księże Redaktorze!

Świętokradzka kradzież ozdób cudownego Obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej serce każdego czciciela Królowej Niebios napełnia zgrozą oburzenia. Ale bliżej rozważywszy, wszystkie skarby ziemskie, co ich ludzie milionami liczą przed Bogiem i Matką Boską, są w porównaniu z jedną duszą człowieka, chociaż żebraka-niewolnika, tylko plewami i śmieciami i przed Bogiem nic nie znaczą. Daleko większe kradzieże świętokradzkie popełniają wszyscy ci na tym świecie, którym Bóg powierzył obowiązki pilnowania zbawienia dusz tych, co na skarby, w pocie czoła pracują, a dusze ich przez niedbalstwo marnie Bogu giną.

W oczach owych bogaczów bydlę ma większą wartość, niż dusze drogą krwią Chrystusa odkupione. Lecz nie dość tego zaniedbania dusz, ale jeszcze są tacy, co przez plugawe literatury, powieści szkaradne, zatruwają serce jadem niemoralności. Jak się w żywocie ś-go Stanisława Kostki czyta, to on, podczas uczty w domu rodziców, ze stołka spadł, gdy pewien gość plugawe słowo powiedział. I na cóż się zda Bogu lub Najśw.

Pannie ofiarowanie, chociażby milionowych skarbów, skoro serce plugastwami zatrute? Nie są to żadne brednie, jakby może niejednemu zdawać się mogło.

Tak więc, dopóki lud polski nie będzie pociągnięty szczerze do pokuty, dopóki nie obrzydzi sobie tych zbrodniczych przykładów, to daremne wszystkie patryotyczne mowy o wolności ojczyzny. Polska ciągle będzie jęczeć w niewoli. Nie jest to mój wymysł. W tym duchu pisał mi przed laty z Poznania znakomity patryota, literat Edmund Callier, już w Bogu spoczywający. Jemu to mam do zawdzięczenia obudzenie w sobie ducha patryotycznego. To też ciągle się modlę gorąco do Boga i Królowej Polskiej Najśw. Panny Maryi Częstochowskiej za narodem moim polskim, aby wlał w niego ducha pokuty. Bo bez ducha pokuty daremne narzekanie na wrogów. Naród polski się wynarodawia, ignąc do cudzoziemszczyzny.

Powracając pewnego razu z Częstochowy, wielcem się zgorszył z powodu paru młokosów, którzy, popisując się cudzoziemszczyzną, w wagonie kolei ciągle szwargotali lichą francuzczyzną, gardząc swoją polską mową. Co potem mogą myśleć o nas nasi wrogowie? Owóż pomyślą sobie: „Gdy wam obca mowa milsza od swojej, mówcie po „naszemu“, a nie skarżcie się na ucisk“.

Prosząc o łaskawe umieszczenie tych paru słów, pozostaję uniżonym sługą w Chrystusie

Franciszek Olszówka.

Z Opola, na Śląsku.

Zamykanie karczem. Z Suchodniewa, w powiecie kieleckim, oraz z Gielniowa pod Opocznem, w gubernii radomskiej, nadeszły dobre wieści. Oto piszą, że w obu tych gminach gospodarze uchwalili na ostatnich wiecach pozamykać karczmy, aby przez utrudnienie sprzedaży wódki powstrzymać pijaństwo. W Gielniowie, miejscu urodzenia ś-go Ładysława, patrona Warszawy, gminiacy uchwalili przytem, że jeśli zupełnie zamknąć karczem nie będzie można, to należy przynajmniej zamienić je na piwiarnie. Picie wódki w Gielniowie już od kilku lat znacznie się zmniejszyło. W lipcu, roku zeszłego zamknięto tam po 12-tu latach istnienia szynk rządowy, bo przestał się całkiem opłacać.

Przykłady godne naśladowania. August hr. Zamoyski z Różanki, właściciel dóbr włodawskich w ziemi siedleckiej, pragnąc zapewnić przyszłość swym pracownikom, ubezpieczył ich w „Stowarzyszeniu emerytalnym Pracowników Prywatnych w Królestwie Polskiem“ na przypadek starości lub niezdolności do pracy, a rodziny ich na przypadek śmier-

ci ich żywicieli, zobowiązując się opłacać za nich połowę składek emerytalnych i członkowskich.

Niezależnie od tego, hr. Zamoyski zobowiązał się wpłacać połowę składek emerytalnych, przypadających od powyższych pracowników za zakup lat ubezpieczenia wstecz, spędzonych przy pracy w jego dobrach.

W tych dniach przedstawiciel Stow. emerytalnego udał się do Różanki i ostatecznie załatwił formalności, związane z omawianem ubezpieczeniem.

Składki emerytalne z tytułu powyższego ubezpieczenia wynosić będą blizko 2,000 rb. rocznie. Oprócz tego suma opłat za kilka lat wstecz wyniesie jednorazowo prawie 10,000 rb. Jak powiedzieliśmy wyżej, połowę tych sum zobowiązał się wpłacać hr. Zamoyski.

P. Bolesław Chrzanowski, właściciel dóbr Dziadkowskich, w gub. siedleckiej, również ubezpieczył w Stow. Emerytalnem swoich pracowników, zobowiązując się opłacać za nich połowę składek. Fakt ten zasługuje na tem większą uwagę ze względu, że na liście ubezpieczonych znajdujemy przeważnie tak zwanych parobków, czyli najniższą służbę folwarczną, która do ostatnich czasów naogół obojętnie, a często nawet niechętnie odnosiła się do sprawy zabezpieczenia swej przyszłości.

Daj, Boże, aby te zachęcające przykłady były energiczną pobudką do naśladowania , a wtedy możemy być pewni lepszej przyszłości dla naszego ludu, który dowodnie się przekona, kto mu jest bratem starszym i życzliwym szczerze.

Pasożyty. W tych dniach, przechodząc przez tak zwaną w Warszawie „Wołówkę“, gdzie uprawiany jest na szeroką skalę handel wszelkiego rodzaju starzyzną, pochodzącą częstokroć z nieczystego źródła, miałem możność przekonać się, jak to „kupcy“ tamtejsi (pejsaci i chałatowi, oczywiście), jawnie popierają bandytyzm.

Uwagę moją zwrócił starzec, który chciał sprzedać kożuszek; żądał zań 6 rubli, handlarze zaś, jakby zmówili się, dawali mu tylko 2 rb. 50 kop. Naraz zjawiło się kilku podejrzanych ludzi, którzy ciasnem kołem otoczyli starca, niby w zamiarze nabycia kożuszka. Nagle jeden z nich wyrwał starcowi kożuch i zaczął uciekać.

Widząc takie bezprawie, puściłem się w pogoń za złodziejem, tymczasem inni jego wspólnicy zagrodzili mi drogę i, grożąc nożami, nie pozwolili mi ruszyć się z miejsca. Aż na szczęście znalazł się jakiś uczciwy żołnierz, którego bali się bandyci i nie przeszkadzali mu w pościgu. Żołnierz ten dopędził rzezimieszka i skradziony kożuch odebrał.

Wdzięczność ubogiego starca była wielka. A tymczasem żydzi-handlarze patrzyli na uczciwego żołnierza z nienawiścią i tłumaczyli mu, dlaczego naraża się niepotrzebnie zorganizowanej szajce.

Nie szło im jednak o bezpieczeństwo żołnierza. Dzięki jemu, stracili kilka rubli. Ten sam kożuszek od złodzieja nabyliby najwyżej za 2 rb., a sprzedaliby conajmniej za 8 rb. Chęć łatwego i dużego zarobku każe niektórym żydom popierać po cichu złodziejstwo i bandytyzm; a kto na tem cierpi? My, oczywiście. Czy wobec tego nie należałoby jednak dążyć do stworzenia własnego handlu, co zapobiegłoby nadużyciom, stale popełnianym przez żydów?

To jest fakt. Faktów podobnych do wyżej opisanego, a nawet o wiele jaskrawszych, widzimy mnóstwo. Handel żydowski u nas w znacznej części oparty jest na wyzysku, oszukaństwie, złodziejstwie nawet. A przed tem zjawiskiem bronić się jest naszym obowiązkiem. Pasożytów na naszem ciele hodować nie powinniśmy.

Jan — Ko.

„Twarde ludzie“.

Współpracownik *Słowa*, opisuje wrażenia swe z pobytu w Opolu, głośnem ze sprawy o kościół, taką powtarza rozmowę swą z gospodarzami opolskimi.

„Jakżeż, panie, może być tak na świecie, żeby nam kościół polski zabrano — mówi najstarszy gospodarz. — Przecież od wiek wieku był nasz. I do dziś jeszcze w nim leżą prochy polskich panów Szlubowickich. A choć tablice kazano zamazać wapnem, to my wiemy przecież, jaka jest prawda.

— To jest nasz kościół! — dorzuca drugi. — My wierzymy, że powróci do nas. My przetrzymamy. Bo przecież jest prawo na to... prędzej czy później.

— Powiadają ludzie, że nowy kościół się będzie budować. Ale nam się przynależy ten dawny, bo to nasz.

— W naszej wsi jest połowa prawosławna. Zdurzyło ich i boją się. Ale po pod Sosnowice, Wisznice, Antopol, to już sami katolicy. I nam wszystkim nabożeństwo potrzebne i Sakramenty przenajświętsze. Bo my dobrze swej wiary świętej pilnujem. Nie mało nacierpieli tu nasi. Ot, ojciec mój w chersońskiej pomarł gubernii. A ja, ja za to, że syna ochrzciłem za granicą, ojcowizne straciłem na sztrafy.

— A jak kościoła nie dadzą, a jak trzeba będzie znowu kary płacić? — zapytałem.

— Przetrzymamy my wszystko! — padła spokojna odpowiedź.

A gospodarz chaty pochylił ku mnie głowę, spojrzał przenikliwie i zaczął mówić powoli a dobitnie:

— Widzicie, mój panie, jak chcecie prawdy, to jest tak: Nam to już dzisiaj nic nie straszne. Widzicie, mój panie, z pokolenia my takiego, co cierpiało niemało. Kto miał od wiary naszej świętej odejść, odszedł. Kto był niewytrzymały, ten zginął. A zostali tacy, którym nie poradzi nic na świecie, jedna śmierć tylko. I my się przy wierze naszej utrzymamy. A panów gruntami też się dzielić nie będziemy, bo nam nie potrza, swojego jest dość. A jak grunta parcelują, to my do Banku włościańskiego po kredyt nie pójdziemy. Gotówką zapłacim, znajdzie się, jak będzie potrzeba. A wiemy my także, gdzie nam ciągnąć. Nie do Buga, a od Buga.

— Bywałem ja za Bugiem zeszłego roku po drzewo. Strach wspomnieć. Wycinki, piach, nędza. A u nas już chłop mądrze gospodarzy, od panów polskich się uczy. Pocóż nam dwory grabić, kiedy nam od nich nauka i dobry przykład idzie?

— A Kółko swoje rolnicze mamy, a i syndykat nasz w tym roku za 18,000 rubli nawozów sztucznych dla nas chłopów sprowadził. Gospodarzym dobrze. Ziemia, jakby nie za dawnych lat.

— Wiary swojej nie odstąpim. Bo my jesteśmy „twarde ludzie"... I dzieci nasze też będą twarde".

Ku czci Kościuszki. W *Dzienniku Kijowskim* wydrukowana została odezwa następująca:

W jednym z zapadłych zakątków ziemi naszej na Litwie, w folwarku Meroczowszczyznie, przyszedł na świat chluba i sława narodu polskiego, Tadeusz Kościuszko. Domek, w którym się on urodził, stoi w opuszczeniu i zaniedbaniu; z racyi okoliczności, od nas niezależnych, nie ma możności roztoczyć nad nim należytej opieki. Tuż niemal obok wznosi się kościół parafialny, w którym, jak świadczą akta metryczne (rok 1746, 12 lutego, Nr. 478), nasz bohater otrzymał chrzest św. i zanosił pierwsze dziecięce modły przed tron Najwyższego.

Pamiątka ta narodowa, droga i cenna, ocalała z ogólnej dziejowej ruiny, smutny i opłakany z siebie przedstawia widok: odarta z wszelkich ozdób, brudna, oszargana i zniszczona, niewielka zaś garstka parafian-katolików, przeważnie włościan ubogich i ciemnych, rozrzucona na przestrzeni kilku i kilkunastu mil wśród ludu prawosławnego, nie jest w stanie zdobyć się na to, aby należycie i gruntownie odrestaurować ten pamiątkowy kościół. Z wiarą jednak w dobrą sprawę i nadzieją w pomoc ogółu polskiego zamierzamy z wiosną roku bieżącego przystąpić wspólnie z komitetem do podniesienia i ozdoby tego domu Bożego, intencyą w odnowionej już świątyni wmurowania w jednej z wewnętrz-

nych ścian marmurowej tablicy z odpowiednim napisem i popiersiem Tadeusza Kościuszki.

Wszelkie wskazówki nam udzielone w tej, jak sądzę, całemu narodowi nieobojętnej sprawie, będą chętnie i sumiennie rozważane i według możności zastosowane; ofiary zaś z listą ofiarodawców proszę przysyłać na imię prezesa komitetu, ks. Pawła Obolewicza w Krasowie, Grodz. gub., albo administratorowi dyecezyi wileńskiej, ks. K. Michalkiewiczowi w Wilnie.

Prezes komitetu: *Ks. P. Obolewicz.* Wiceprezes: *Kazimierz Jundziłł.* Skarbnik: *Mikołaj Polutnicki* (ziemianie). Członkowie komitetu (włościanie): *Albert Bajkiewicz, Wojciech Fiedorowicz, Józef Buczyński.*

Żydzi wywłaszczają. W Galicyi Polaków coraz bardziej rugują z ziemi tych i jeżeli wywłaszanie to pójdzie w ten sposób dalej, to przyjdzie czas, że żydzi będą mieli w Galicyi znacznie większą część ziemi w swych rękach i będą panami tej polskiej dzielnicy. Jak dalece już żydzi stają się panami własności ziemskiej, zwłaszcza we wschodniej Galicyi, gdzie jest ludność mięszana (polska i rusińska), dowodzą tego następujące liczby: Dopiero od roku 1868 pozwolono w Galicyi żydom nabywać ziemię; zaledwie rok upłynął od chwili wejścia w życie ustawy, a już 38 wielkich majątków przeszło w ręce żydowskie; w dwa lata później było w ich posiadaniu 68 wielkich majątków; w roku 1873 już 289, w roku 1899 aż 680 wielkich majątków mają żydzi w swych rękach, a obecnie żydzi wykupili już 35 procent ziemi w Galicyi, a drugie tyle wzięli w dzierżawę, czyli połowa z górą wielkiej własności obecnie jest w rękach żydowskich. Na 2,000 wielkich majątków ziemskich w Galicyi 1,100 znajduje się w rękach żydowskich, a po miastach i miasteczkach żydzi już objęli wszędzie 50 procent wszystkich parcel i domostw w swe posiadanie. To są przygnębiające liczby, dotyczące wielkiej posiadłości i miast. — Liczby, odnoszące się do małych własności, są jeszcze więcej zastraszające. W ciągu 18 lat, to jest od roku 1874 do 1892, przeszło w posiadanie żydów 43 tysiące małych ziemskich własności! Jeżeli zważymy dalej, że co roku w Galicyi drogą publicznej licytacyi (subhasty) sprzedaje się 2,600 gospodarstw, wtedy łatwo stwierdzimy, w jak okropnych niebezpieczeństwach znajduje się mała posiadłość ziemska w Galicyi. Wartość sprzedanych majątków waha się w 8 — 9 milionach koron rocznie; główną zaś przyczyną tych licytacyi są żydzi. W trzech latach, od 1894 do 1897, żydowscy lichwiarze sprzedali 2,856 wiejskich gospodarstw, w 1547 wypadkach zażądały licytacyi banki żydowskie, bank krajowy tylko w 147 wypadkach, a urząd podatkowy w 319

wypadkach. Liczby te wyjęte są z urzędowego spisu licytacyi. — Czyż wobec tego, zamiast kłócić się i politykować partyjnie po parafialnemu, nie należałoby łącznemi siłami zabrać się do obrony polskiej ziemi w Galicyi? Frazesami i krzykactwem niczego się nie zbuduje, ani nie uratuje, ale budować i ratować można rzeczy i dzieła tylko pracą, tylko rzeczową i rzeczywistą a wytrwałą i rozumną pracą.

Szkolnictwo na Litwie. Korespondent *Gońca Wil.* ze Słonima w gub. Grodzieńskiej pisze, co następuje:

W grudniu ubiegł. roku katolicka dziatwa szkoły realnej była zaskoczona przykrą niespodzianką. Pokoik, przeznaczony dla wykładów religii katolickiej i dla zebrań katolików na modlitwę przed lekcyami, nagle z rozporządzenia władzy szkolnej zamknięto, a dzieciom nakazano rozejść się do klas i tam odmawiać modlitwę wraz z innymi, naturalnie po rosyjsku. Taki zamach sprawił na nich tak silne wrażenie, że dziatwa poklękała na korytarzu i odmówiła modlitwę po polsku, a po modlitwie zaczęła domagać się swych praw i wyjaśnienia przyczyn, dla których zamknięto pokoik. Nie obeszło się też bez skarg do kapelana i członków założycieli szkoły, przyczem jej prezes, znany rusofil, skrzyczał publicznie uczniów 6-ej klasy za opór władzy. Dopiero wstawiennictwo ks. kapelana przywróciło dawny porządek.

Inaczej było w innej szkole. W „prychodskiej“ szkole uczą się przeważnie katolicy. Tym nakazują odmawiać modlitwy i odśpiewywać cerkiewne pieśni po rosyjsku. Opornych karzą, bo tak działali Chowański, Czortow, ich przedstawiciel Murawjew, a inaczej miałby postępować p. Chwieśko?

Ciekawe też jest, w jaki sposób inspektor miejskiej szkoły, p. Kościukiewicz, określił narodowość chłopców. W pierwszej klasie znalazło się o nazwisku polskiem i przybyszów z Królestwa Polskiego 3 chłopców — więc zapisał ich jako Polaków. Innym chłopcom jedynie z tej racyi, że się urodzili w Słonimskim i znikąd nie przyjechali, odmówiono rubryki polskiej i zapisano jako Białorusinów. W starszych klasach — 2-ej, 3-ej i 4-ej nie było przyjezdnego, więc wszyscy zapisani są jako Białorusini, mimo protestu, że rozmawiają w domu po polsku i pochodzenia są polskiego. Że jednak nie wypada uszczuplać miejsca i dla Litwinów, których zupełnie nie mamy w Słonimie, okazało się jednak, że miejska szkoła w Słonimie posiada 3-ch Polaków, 4 Litwinów, 170 Białorusinów, rozmawiających w domu po białorusku, ale mówiących i po polsku. Z liczby 170 Białorusinów, katolików jest 67, a resztę stanowią prawosławni.

Nauka i rozrywka.

Co to są komety i czy szkodzą ludziom? Zjawiają się niekiedy ciała niebieskie, które swym niezwykłym wyglądem zwracają na siebie uwagę. Wtedy nawet tacy ludzie, którzy nigdy nie trudzą się oglądaniem nieba, zwracają swój wzrok ku górze, a przy spotkaniu się jeden pyta drugiego:

— Czy widziałeś kometę?

Rzeczywiście, komety przedstawiają zjawiska ciekawe i dziwne zarazem.

Wyobraźmy sobie na gwiazdzistem niebie coś w rodzaju długiego pasa świetlnego, z jednego końca jaśniejszego: — to kometa, składająca się z warkocza i głowy. Często daje się dostrzedz w głowie komety gwiazdę bladą i nieco zamgloną, jest to jądro, otoczone świetlnym obłokiem. Z głowy komety wypływa strumień światła nakształt ogona, skąd powstała nazwa „kometa“, wzięta z greckiego, a oznaczająca gwiazdę ogoniastą.

Tak przedstawiają się najczęściej komety, gdy je widzimy w pełnym blasku. Lecz poniżej przekonamy się, że nie są one podobne do siebie, nawet jedna i ta sama kometa zmienia w znacznym stopniu swój wygląd. Zwykle, w chwili odkrycia przez teleskop, kometa nie posiada warkocza; w miarę zbliżania się ku słońcu i ku ziemi, blask jej wzrasta ustawicznie, zjawia się warkocz, który z biegiem czasu stanę się coraz dłuższy, a niekiedy dosięga olbrzymich rozmiarów. Jednocześnie kometa przesuwa się na niebie wśród gwiazd i łatwo zauważyć, jak z dnia na dzień zmienia swe położenie.

Po upływie pewnego czasu, gdy kometa oddala się od nas, blask jej słabnąć zaczyna, warkocz stopniowo zmniejsza się i znika. W ciągu kilku tygodni astronomowie mogą jeszcze ją dostrzedz przy pomocy swych narzędzi optycznych, lecz później kometa ginie w przestrzeni wszechświata. Jak już zauważyliśmy, komety nie są do siebie podobne. Jedne posiadają warkocz wspaniały, inne znów krótki i mglisty.

Niekiedy warkocz składa się z kilku części i wachlarzowato rozpościera się na niebie, lecz najczęściej daje się zauważyć zupełny brak warkocza, a kometa przedstawia się, jako świecący obłoczek lub też, jako gwiazdka, błyszcząca we mgle. Najczęściej wszakże komety są wido-

czne przez wielkie teleskopy. Z pomiędzy komet nadzwyczajnych, które posiadały niezwykły blask, dając możność każdemu obserwowania niezwykłego zjawiska, wyliczyć należy komety z lat 1858, 1861 i 1862, o których starsi ludzie pamiętają dobrze.

Lecz czemże jest kometa?

Jest to ciało, błądzące w przestrzeni, lecz wielce odmienne od planety. Planeta przedstawia sobą twardą (przeważnie) kule o zna-



Wielka kometa, widziana w roku 1811.

cznej masie, gdy kometa składa się, według wszelkiego prawdopodobieństwa, z gazów lekkich świecących, oraz z mnóstwa drobnych ciałek twardych. Wyobraźmy sobie chmurkę nadzwyczaj lekką i przezroczystą, unoszącą się w górnych warstwach atmosfery ziemskiej; w ogólności kometa przypomina nam chmurkę w przestrzeni międzyplanetarnej, lecz jest o wiele przezroczystszą, gdyż przez gazy, składające kometę, można dostrzedz gwiazdy bez żadnego osłabienia ich blasku; tymczasem najlżejsza chmurka, nawet mgła przyćmiewa lub zasłania nam gwiazdy.

Gdyby wszechświat był wypełniony powietrzem, to wszystkie drobne ciała, które znajdują się w jądrze komety, napotkałyby w swym ruchu znaczny opór; lecz ponieważ przestrzeń ta niezmiernie jest wypełniona, mogą one bez najmniejszej przeszkody odbywać podróże po niebie. Jednakże, chociaż ilość materyi, znajdującej się w tych ciałach, jest nieznaczna, chociaż materya ta jest niezmiernie lekką, zajmuje olbrzymią przestrzeń na niebie.

Wspaniała kometa, widzialna w roku 1811, miała jądro 4,100 wiorst w średnicy, a głowa jej posiadała średnicze 850,000 wiorst.

Długość warkocza komety wynosiła 170 milionów wiorst, to jest więcej, niż odległość ziemi od słońca.

Istnieje inna jeszcze różnica między kometami a planetami.

Planety obracają się dokoła słońca po orbitach, wielce zbliżonych do koła, komety zaś zakreślają elipsy bardzo wydłużone, przytem zbliżają się do słońca na większe przestrzenie, aniżeli najdalsze planety, skutkiem czego wracają do nas po upływie tysięcy lat, lub też wcale nie wracają, ginąc na zawsze w bezmiarze wszechświata. Tak bywa zwykle z najjaśniejszemi kometami.

Wspaniała kometa z roku 1811 wróci do nas (jeżeli tylko w rzeczy samej powróci) po upływie 3,000 lat.

Inne zaś komety, które zbliżając się ku ziemi, rzucały silne światło, krążą po takiej drodze, że nigdy już nie powrócą do nas. Należy zauważyć, że kometa może być widoczną wtedy tylko, gdy znajduje się blisko słońca. Wtedy materya, z której składa się kometa, rozszerza, zwiększa swoją objętość, zaczyna świecić własnem światłem, a po części odbitem od słońca, podobnie, jak mały obłoczek, silnie oświetlony promieniami słońca. Najlepiej kometa jest widoczną w punkcie przysłonecznym, przebiegając zaś pozostałą część swej olbrzymiej drogi, przedstawia sobą ciemną chmurkę, a właściwie gromadę drobnych ciałek, błądzących w mroźnej i ciemnej przestrzeni. Nie upłynie roku, aby astronomowie nie wynaleźli kilku komet teleskopowych. Natomiast wielkie komety są rzadkością.

— Czy widząc kometę w pobliżu słońca, możemy dowiedzieć się, kiedy ona powróci?

Bezwątpienia, lecz należy mieć na uwadze, w jakich warunkach to będzie możliwem.

Aby dowiedzieć się, czy kometa powróci i kiedy, należy starannie oznaczyć jej orbitę, a obliczając szybkość, z jaką przebywa swą drogę, można oznaczyć, ile na to potrzeba czasu. Lecz określić kształ jej linii krzywej, po której bieży w przestrzeni kometa, jest rzeczą bardzo trudną, wymagającą wielu dokładnych spostrzeżeń zmudnych wyliczeń.

To też obliczono dopiero bardzo nie wiele dróg komet i, rzecz prosta, tylko tych, które niezbyt oddalają się od słońca i często powracają. Liczba ich wynosi około 50. Przepowiednie, dotyczące powrotu komety, mogą być tylko przybliżone, a te, których drogi oznaczone, nie należą bynajmniej do rzędu silnie błyszczących. Z pośród najpiękniejszych komet jest tylko jedna, której powrót dokładnie można oznaczyć.

Jest to kometa Halley'a, nazywana imieniem astronoma, który pierwszy wyznaczył jej drogę w przestrzeni.



Wielka kometa, widziana w dniu 30 czerwca 1861 roku.

Znajdowała się ona najbliżej słońca w latach 1759 i 1835; obecnie zbliża się do nas, a ponownie ujrzymy ją na wiosnę w maju.

Co się tyczy komet, obserwowanych po raz pierwszy, niemożliwą rzeczą jest przewidzieć czas ich powrotu, są to zawsze goście niespodziani. Ukazanie się komet wzbudzało zawsze strach zabobonny, przyczyną tego był bezwątpienia szczególny ich wygląd i rzadkie stosunkowo ukazywanie się na niebie. Komety, które obecnie nam się pokazują, uważano dawniej za straszne zjawisko, będące zapowiedzią wojny, głodu, moru, lub innego nieszczęścia. Inni znów zadawali sobie pytanie, czy te ciała, będące w przestrzeni we wszystkich kierunkach, nie spotykają się czasem z ziemią, czy nie rozbiją jej lub nie zepchną z właściwej drogi.

Przecież można przypuszczać, że jakakolwiek kometa, której droga przecina się z drogą ziemi, zetknie się z ziemią.

Cóż stałoby się wtedy?

Może ziemia rozbiłaby się na drobne części?

Bynajmniej.

Przedewszystkiem zwracamy uwagę, że podobne spotkanie ma niewielkie prawdopodobieństwo, gdyż komety posiadają bardzo wiele przestrzeni do swobodnego biegu i nawet trudno przypuścić, ażeby dwa ciała niebieskie mogły często spotkać się. Ale w każdym razie jest to rzeczą możliwą.

Jakież będą skutki takiego spotkania?

Komety składają się z materyi niezmiernie lekkiej, z tego powodu przy spotkaniu z ziemią nie doznalibyśmy najmniejszego wstrząśnienia. W najgorszym razie przy spotkaniu z wielką kometą, na ziemie spadłby deszcz meteorów, jak to już zdarzało się nieraz. lub też niektóre miejscowości na ziemi byłyby nawiedzone przez deszcz kamieni, jakie prawdopodobnie składają jądro komety. W takim wypadku nastąpiłoby pewne podwyższenie temperatury, lecz ziemia nie rozbiłaby się na drobne kawałki, ani nawet życie zwierząt i ludzi nie byłoby na szwank narażone, jak to przypuszczano dawniej.

Podobne spotkanie miało już miejsce nie z ziemią, lecz z Jowiszem i przez teleskop można było wtedy widzieć dokładnie jaki będzie wynik podobnego spotkania. Piękna, wielka kometa, znajdująca się w nieznacznej od ziemi odległości, kierowała się wprost ku Jowiszowi.

I cóż się stało?

Astronomowie ani na chwilę nie wątpili, że olbrzymi Jowisz nic na takiem spotkaniu nie ucierpi, wszakże obawiano się, czy nie zakłóci biegów księżycowych.

Otóż okazało się, że kometa najspokojniej przeszła tuż koło Jowisza, znalazła się pomiędzy jego księżycami, nie zrobiwszy im żadnej krzywdy. Natomiast ją samą spotkał smutny los. Skutkiem silnego przeciągania olbrzymiej planety, bieg komety został zakłócony, zmienił kierunek, skutkiem czego kometa zginęła w głębinach wszechświata, by nigdy już nie wrócić do nas.

Coś podobnego stało się i z ziemią: w listopadzie 1872 r. kometa przeszła tak blisko ziemi, że warkocz jej przeszedł przez naszą atmosferę.

Wynikiem tego zetknięcia było wspaniałe zjawisko deszczu gwiazd spadających.

Pamiętajmy więc, że nie należy obawiać się komet. Są to ciała

nieszkodliwe i nie mogą sprowadzić żadnej z tych klęsk, o jakie posądzano je dawniej.

Tylko ciemni i zabobonni zamiast podziwiać te zjawiska niebieskie, jako objawy potęgi Stwórcy, opowiadają bajdy i szerzą głupotę, że komety mogą sprowadzić nieszczęścia, klęski, ba! nawet koniec świata. Niedorzeczne te brednie potępiać trzeba, jako szkodliwe i bezsensowne.

Odkrycie grobu z przed dwóch tysięcy lat. Zdarzyło się niedawno we Włoszech, że wieśniak pewien, mieszkający w dolinie pod miastem Aosta, chciał przyłączyć do swej winnicy kawał roli, leżącej odłogiem. Przy regulowaniu, t. j. głębokiem kopaniu tej roli, natrafił na wielkie głazy, ułożone foremnie jakoby skrzynia. Wieśniak domyślił się zaraz, że głazy musiały zostać ułożone ręką ludzką w odległej bardzo przeszłości, a ponieważ, jako człowiek światły, wiedział, że podobne pamiątki z czasów dawnych są przez uczonych badaczy poszukiwane, więc nie ruszając głazów, dał znać władzy gminnej, która też komisyą uczonych badaczy sprowadziła. Przy pomocy badań historycznych stwierdzili uczeni, że głazy tworzyły grób z przed lat 2000 z górą. Okolice Aosty zamieszkiwało wówczas celtyckie plemię Zalasów, które powstrzymywało zaborczych Rzymian w ich wycieczkach wojennych na Gallów, t. j. dzisiejszych Francuzów i Hiszpanów. Rzymianie przeto, nie chcąc znosić sąsiedztwa małego, wojowniczego plemienia, w roku 143 przed Chrystusem, zawojowali doszczętnie Zalasów i wprowadzili w Aoście swój rząd i swoje obyczaje.

Zważywszy, że Rzymianie nie mieli zwyczaju chować swych zmarłych w grobach z głazów ułożonych, uczeni przyszli do przekonania, że grób ten kryje szczątki członka plemienia Zalasów, że przeto musi pochodzić z czasów, na kilkaset lat przed Narodzeniem Chrystusa odległych. Dalsze poszukiwania wykazały, że w miejscu tem był cmentarz, gdyż znaleziono tam więcej takichże grobów z głazów złożonych; wszystkie groby ułożone są głowami ku wschodowi, co naprowadza na myśl, że Zalasowie byli czcicielami słońca. Oprócz kości nie znaleziono dotąd żadnych przedmiotów w grobach; zauważono tylko ślady rdzy, co naprowadza na myśl, że głazy spajane były żelaznemi obręczami. Odkrycie tych starożytnych grobów jest ważnem zdarzeniem dla nauki. Przypomina ono i wyprowadza na świat dzieje plemienia, które przez długie lata spokojnie uprawiało swą rolę, aż w końcu padło pod mieczem zaborczych Rzymian.

Złote rady dla polskiego młodziana.

Nie ucz drugich, dopóki sam gruntownej nie posiędziesz nauki. Ujmuj się, jeśli się czujesz na siłach, za prawdą, i nie troszcz się, jeśli

przez to ściągniesz na się nienawiść lub szyderstwa pociski. Obowiązek to prawego człowieka dawać świadectwo prawdzie. Ale prawda, to nie mniemanie jednodniowe, lub przez czas jakiś popłacające i głośno z hałasem jarmarcznym roztrąbione. Prawda, to zdobycz trudem wieków mnogich zdobywana, nieraz cierpieniem, a nawet krwią pokoleń całych okupiona. Nie myśl zatem, że sprawa twa lub zdanie już dlatego, że twoje, żeś je sam ukochał, tem samem już czystą, nienaruszoną jest prawdą. Często miłość własna zaślepia. Sądź więc ostrożnie. Młodzi zazwyczaj są pochopni do orzekania o sprawach nawet najpoważniejszych, a to właśnie dlatego, że młodzi. Nie mają więc doświadczenia; nie wiedzą, ile sił wymaga rozwój sprawy i jakie trzeba było zmódz przeciwności i przeszkody, nim przybrała kształty, w jakich ją przed sobą widzimy. Kto na gorącem się sparzy, ten i na zimne dmucha.

Czyń bez rozgłosu i nie dbaj, co świat na to powie. Wolę skupiaj w jednym celu, a nie rozpraszaj chęci w różnych kierunkach, ani co chwila ich nie zmieniaj. Tylko słaba drzewina chwieje się za każdym wiatru powiewem; dąb stoi niewzruszony, a nawet wśród burz liściem lub młodszymi konarami zaszeleści. Kto po rozważnem zastanowieniu się powziął postanowienie i w niem trwa stale, już w połowie dokonał dzieła. Zmienność chęci, to pogoda w kwietniu, a „kwiecień to plecień“.

O ciało dbaj; ale pamiętaj, że ciało bez duszy jest trupem. Dziś troskliwie a sztucznie ćwiczą je, a nawet osobną na ten cel ułożono naukę. Dobra to rzecz, bo tylko w zdrowem ciele, zdrowa bywa dusza. Ale w troskliwości o ciało często zapominamy o duszy i o ćwiczeniu jej w cnotach, czyli o moralnej gimnastyce. Ciało wyćwiczone, bez uszlachetnienia duszy i serca, może mieć siłę dziką, zwierzęcą. Ta zazwyczaj burzy i niszczy, a rzadziej buduje.

Na świecie nie jesteś sam. Żyjesz z drugimi społem; nie żyj więc tylko dla siebie, lecz i dla nich, dla społeczeństwa. Wtedy i tobie dobrze będzie i społeczeństwu z tobą. Z każdym postępuj uczciwie, ale nie zwierzaj się całkiem nikomu. Stój i żyj o własnych siłach. Do spraw cudzych, nieproszony, się nie mieszaj; swoich bacznie pilnuj. Szanuj każdego bez względu na stan. Nie zawsze możesz być wspaniałomyślnym, ale sprawiedliwym bądź zawsze. Nie bądź sprawcą cudzego zmartwienia; ale gdy prawą postępujesz drogą, nie troszcz się, czy komu staniesz się zmartwienia przyczyną.

Wspomagaj i dawaj z ochotą, jeśli cię stać na to. Nie miej się dlatego za coś lepszego od drugich. Gdy sam nic nie masz, podaj pragnącemu kubek wody i nie sądź, żeś lichszy od tych, co pełnymi sypią garściami. Dziękuj Bogu, że są tacy, którzy tam mogą pomódz, gdzie ty pomocy przynieść nie zdołasz.

Czyń co warto nagrody. ale ręki po nią nie wyciągaj. Najlepsza nagroda we własnem sumieniu. Pamiętaj, że dobrze czynić, to sprawa nie łatwa; nie sądź więc zbyt śpiesznie o czynach drugiego i nie lekceważ ich sobie. Łatwiej wiedzieć, jak coś robić należy, niż samej dokonać pracy. Niejeden zarozumialec okrył się wstydem, gdy przyszło czynem stwierdzić, co umie. Nie łącz się z tymi, co przyganiają cudzej pracy. To zazwyczaj próżniacy, którzy sami nic nie robiąc, w nicowaniu pracy cudzej szukają zadowolenia. Owszem, szanuj pracowników pilnych, ciesz się z każdej ich pracy, uczciwie podjętej, chociażby nawet jeszcze niedoskonałej. Zachęcony pracownik dołoży starania, aby ją udoskonalić, a z prac i czynów jednostek pospolite złoży się dobro.

Szanuj prawych i bogobojnych; niech ci zawsze za wzór służą. Omijaj obłudników. Człowiek bogobojny jest jak słońce, które świeci i ogrzewa, wszędzie do życia pobudzając. Gdy cię przygniata troska, Bogu się użal, a znajdziesz pocieszenie. Myśl zawsze o Nim; najlepsze to lekarstwo na smutek i utrapienie; najpożywniejszy dla duszy pokarm.

Wjazd Ossolińskiego do Rzymu w roku 1633. Pamiątką 30-go listopada jest uroczyste przyjęcie w roku 1633 w Rzymie poselstwa polskiego, odprawionego przez Jerzego Ossolińskiego.

Włosi i wszyscy cudzoziemcy wyznawali, że nigdy nie widzieli tak wspaniałego wjazdu; opisywali go też w całej Europie współcześni autorowie, przedstawiali w obrazach malarze, rytowali w olbrzymich rozmiarach pierwszorzędni stycharze.

Celem tego poselstwa było: oznajmienie wstąpienia na tron króla Władysława IV.

Skoro postanowiona została ambasada, młodzież najpierwszych domów polskich przyłączyła się do orszaku, tak iż wynosił przeszło 300 osób. Samych koni podwodowych, najwyborniejszej rasy, należących do posła, prowadzono 30, rydwanów pod rzeczy szło 20. Z tak licznym orszakiem, 23 września 1633 roku, wyruszył Ossoliński z Krakowa.

W Niemczech już rozszedł się odgłos o wspaniałym jego pochodzie; gubernatorowie miast i panowie niemieccy, jedni z rozkazu cesarskiego, drudzy z uprzejmości, po drodze zapraszali go do swoich zamków, racząc wspaniałemi ucztami, biciem z dział, muzyką i dostarczając karet i koni do podróży.

W Wiedniu nader gościnnie przyjmował go cesarz, a gdy przebył góry Styryjskie i wjechał do Włoch, kardynałowie, zakonnicy, panowie i Polacy bawiący tamże, wyjeżdżali na jego spotkanie i przyłączyli się do orszaku, który coraz więcej rósł w liczbę i okazałość. O sześć mil od Rzymu powitali go sekretarze wszystkich poselstw, a wkrótce potem spo-

tkali posłowie cudzoziemscy, których niezmiernie dziwiło, że Ossoliński z każdym z nich mówił jego własnym językiem.

W niedzielę, dnia 27 listopada, gdy do willi za miastem zjechało się moc kardynałów, posłów, margrabiów, hrabiów i książąt, wsiadł Ossoliński na konia i ruszył ku bramie flamińkiej. Na czele jechało dwóch jego furyerów, po polsku w suknie szkarłatne ubranych, na dzielnych koniach; za nimi szły wozy suknem karmazynowem, z wyszytemi na nich herbami posła, przykryte. Następowało potem 10 wielbłądów z dzwonkami srebrnemi na szyjach, dekami jedwabnemi, złotem tkanemi przykrytych, które prowadzili persowie, narodu swego obyczajem, bogato ubrani, i w zwojach. Po tych widać było 4 trębaczów najprzedniejszych, po polsku w zielone aksamitne suknie z pętlicami złotemi przystrojonych, za którymi szła gwardja posła, z 34 ludzi złożona; konie pod nimi piękne, sami w sukniach jedwabnych, złotem przeszywanych, mieli flinty, pistolety i białe pióra u czapek. Za nimi jechało 30 pokojowych posła, na pysznych koniach, w rzędach srebrnych, wszyscy barwisto w suknie polskie aksamitne, koloru niebiekiego ubrani, mając na sobie sajdaki zwyczajem tuerckim, w srebro oprawne. Poprzedzał ich giermek, tarczą bogatą uzbrojony i zwyczajem perskim strzałę w ręku trzymający, ze skrzydłami do kulbaki przypiętemi. Suknie na nim złotem, perłami i drogiemi kamieniami, tak bogato były ozdobione, iż wszystkich na siebie oczy i podziwienie zwracał.

Za pokojowymi prowadzili po persku bogato uzbrojeni masztalerze pięć najdzielniejszych koni arabskich. Na każdym rząd i kulbaka drogimi kamieniami ozdobiona, na jednym mianowicie koniu siedzenie było samymi dyamentami całe okryte, a na czole konia sztukę z klejnotów szacowano 10,000 dukatów.

Ale najwięcej to zadziwiało wszystkich, że u tych koni podkowy były złote i niektóre umyślnie tak słabo przybite, że mogły odpadać, jakoż dwie na części złamane odpadły i pospólstwu się dostały.

W orszaku zwracał szczególnie uwagę sekretarz ambasady, jadący na ślicznym koniu arabskim, który czynił obroty niepojętej szybkości, tak dalece, że łańcuch złoty do munsztuka przypięty, koń pod nim osobliwszą sprawnością na drobne kawałki poszarpał i pospólstwu na łup rzucił.

Za długim szeregiem panów jechał wreszcie poseł. Miał on na sobie suknie bogato złotem haftowane, i tak przy żupanie, jak i zwierzchniej szacie po 20 sporych guzów, każdy z jednego dyamentu i po 20 pętlic dyamentowych. Karabela złota, klejnotami sadzona na 5,000 dukatów szacowana. Siedział na dziwnej piękności arabczyku, mającym podkowy złote. Na łbie wierzchowca brylant szacowany 20,000 dukatów,

a przy uszach były czuby gęsto dyamentami przeplatane. Całe siedzenie, nawet strzemiona, drogiemi klejnotami miał sadzone.

Temu wspaniałemu widokowi dodawała jeszcze ozdoby osoba samego posła, który był jednym z najprzystojniejszych mężczyzn swojego wieku i dzielnie trzymał się na koniu.

Pożyteczne rady. Komuż w czasach dzisiejszych nie znaną jest jeszcze ta wielka prawda, że źródłem największej siły i żywotności narodów, jest wiedza, oświata i nauka?

Ciągle coraz to nowe doświadczenia pouczają nas, że naród ciemny i nieoświecony bywa zawsze przedmiotem pogardy, lekceważenia i wyzysku. Co o narodzie całym, to samo można powtórzyć w zastosowaniu do każdego człowieka z osobna. Człowiek głupi i ciemny, to przedmiot pośmiewiska dla wszystkich, to istota nad wyraz nieszczęśliwa, nieporadność bowiem towarzyszy mu we wszystkich życia wypadkach.

Jakież są sposoby umożliwiające człowiekowi nabywanie oświaty? Takich sposobów jest tylko dwa. Pierwszym, to szkoła w dzieciństwie i za młodu, drugim to czytanie książek, pism i gazet w życiu późniejszem. Przez szkołę trzeba przejść zawczasu, aby przezwyciężyć, gdy umysł jeszcze świeży i łatwo poddający się, wszystkie trudności początkowe, szczególnie zaś, aby przyswoić sobie sztukę czytania i pisania, bez czego kształcenie się i oświecanie w wieku późniejszym byłoby niemożliwe.

Każdy powinien wiedzieć, co się w świecie, w państwie i w kraju dzieje. O tem wszystkiem zaś można dowiedzieć się tylko przez czytanie, zarówno książek, jak i pism i gazet. One to są źródłem, dostarczającem każdego niezbędnego w czasach dzisiejszych pokarmu duchowego.

Jednak każdy ciągle powinien zasilać się świeżym pokarmem duchowym, czerpanym za pośrednictwem drukowanego słowa. — Pokarm ten jednakże może być podobnie, jak pokarm cielesny, zdrowym i dla ducha posilnym, albo też trującym.

Wchłaniając w siebie pokarm duchowy, czerpany za pośrednictwem książek i gazet, można umysł swój krzepić, podnosić, uszlachetniać, albo też serce napawać nienawiścią i złością, można w duszy osłabiać zapał do dobrego, budzić w niej zwątpienie, niepokój, tudzież skłonność do uczynków złych i szkodliwych.

Niestety, każdy człowiek dobrej woli, a znający stosunki, w jakich żyjemy, przyzna nam niewątpliwie słuszność, że obecnie pokarmu ducha zatruwającego jest na świecie moc wielka.

Cały świat, a więc także i nasza czytająca publiczność jest wprost zasypywaną słowem drukowanem, w których praca nad krzewieniem niby oświaty łączy się z dążnościami wrogiemi temu wszystkiemu, co stanowi

podstawy naszego moralnego bytu, co nas w życiu podtrzymuje, pociesza, bez czego wszelki porządek społeczny byłby niemożliwy, t. j. z podkopywaniem wiary i religii. Patrzmy na Francyę i uczmy się, co się dzieje z narodem, wyzbywającym się najdroższego duchowego skarbu — religii. Dla nas Polaków wyzbycie się wiary i zerwanie tych serdecznych węzłów, jakie nas łączą z Kościołem katolickim, byłoby stokroć jeszcze groźniejszem, aniżeli dla Francyi, my bowiem nie tworzymy samoistnego państwa, jesteśmy tylko duchową całością, którą obok mowy o tradycyi najsilniej zespala i jednoczy przynależność do Kościoła rzymsko-katolickiego.

Jest to pewnikiem, nie mogącym dla uczciwego Polaka żadnej ulegać wątpliwości, że jeżeli chcemy utrzymać się, jako naród odrębny i samoistny, to jest dla nas możliwe tylko pod warunkiem, że pozostaniemy narodem chrześcijańskim i katolickim. Kto więc jako Polak karmi ducha swojego pokarmem czerpanym z książek, pism i gazet wierze naszej i chrześcijaństwu przeciwnych, ten nietylko siebie unieszczęśliwia, nietylko sobie krzywdę wyrządza, ale krzywdzi równocześnie cały swój naród, podkopując podstawy jego bytu. — Jednakże pragnienie wiedzy i oświaty w naszem polskiem społeczeństwie, a szczególnie wśród ludu polskiego, tak silne, tak potężne, że niejeden chwyci za byle pismo lub książkę, aby tylko czytać, aby się czegoś dowiedzieć i nauczyć.

Jakiż więc jest sposób, aby ochronić ludzi od karmienia się trucizną?

Na to jest sposób tylko jeden:

Należy obdarzać chciwych czytania obfitością pokarmu posilnego i zdrowego. Niechaj w ilości, możliwie największej, wychodzą książki, pisma i dzienniki o dążnościach uczciwych i szlachetnych, zarówno pod względem narodowym, jak i pod względem religijnym i społecznym, niechaj te wydawnictwa będą dobrze redagowane i pisane, a wówczas każdy chętnie zasili się pokarmem zdrowym, aniżeli trującym.

Czyż potrzeba dowodzić i wykazywać, jak potężnym środkiem działania na umysły ludzkie jest teraz prasa, są pisma i dzienniki? Patrzcie na żydów, oni to już oddawna zrozumieli. W czasach, gdy dziennikarstwo znajdowało się jeszcze w zawiązku, gdy właśnie zaczynały się walki o swobody konstytucyjne, żydowstwo pozakładało kosztem milionów wielkie dzienniki, a wspierając je ciągle, pozyskało niebywały wpływ na opinię publiczną całego świata. Faktem jest że wszystkie największe pisma i dzienniki zarówno w Europie, jak w Ameryce, znajdują się obecnie w rękach żydowskich, tymczasem koła chrześcijańskie zaspały najdogodniejszą porę i sposobność do pozyskania wpływów na budzące się do życia masy ludowe tak, że teraz musi się dopiero z trudem i z mozołem

dawne odrabiać zaniedbania. — Co bowiem przed laty trzydziestu lub nawet dwudziestu byłoby szło z łatwością, to wymaga już dzisiaj wielkich wysiłków zarówno pieniężnych, jak i umysłowych.

Nie wolno nam jednak zwątpić, nie wolno rąk zakładać bezczynnie, przeciwnie, należy ze zdwojonemi pracować siłami. — Wielkie zaś i święte obowiązki ciążą w tym kierunku nietylko na tych, którzy piszą i wydawnictwami się trudnią, ale także i na tych co czytają. — Na książkach i na pismach wydawanych w duchu uczciwym, w duchu narodowym i chrześcijańskim już nam teraz nie zbywa, jest więc rzeczą czytelników, aby i oni także swój obowiązek spełnili i wydawnictwa takie wszelkiemi siłami popierali.

Niechaj każdy dobry Polak i uczciwy chrześcijanin wbije sobie należycie w pamięć słowa wypowiedziane przed trzema laty przez przełożonego jednego ze zgromadzeń zakonnych, z Francyi wypędzonych:

— „O, gdybyśmy z wielu milionów — odezwał się ów przełożony — które wydaliśmy na budowę kościołów i powiększenie konwentów, przechodzących obecnie w ręce wrogów naszych, byli obrócili, choćby tylko trzy miliony, na założenie i utrzymanie, choćby tylko sześciu dzienników antysemickich, nie bylibyśmy się znaleźli w dzisiejszem położeniu".

Oto mądre słowa, ale cóż, kiedy niestety, powiedziane zapóźno!

Nauczeni więc cudzem doświadczeniem, pilnujmyż się, aby i u nas nie było zapóźno. Pole do pracy jest jeszcze u nas wielkie i wdzięczne, potrzeba jednak, aby nietylko piszący i wydawcy, ale także i czytelnicy wzbudzili w sobie zapał dla sprawy wielkiej i świętej. Niechaj każdy nietylko chroni siebie i drugich przed czytaniem rzeczy, niezgodnych z przekonaniami uczciwego Polaka i katolika, ale nadto niechaj z uczuciem serdecznej wdzięczności odnosi się do tych, którzy mu podają zdrowy i jędrny pokarm duchowy. Takimi zaś są wszyscy piszący w duchu szczerze patryotycznym i chrześcijańskim.

Praca autorów piszących i dziennikarzy, to praca nad wyraz ciężka i żmudna. Stokroć nieraz lżej ryć łopatą, aniżeli ślęczeć cały dzień w pół zgiętym i zgarbionym za stołem i nieustannie susząc sobie mózg, pisać i pisać bez końca. Gdy się pracuje łopatą, to siły i zdrowie przynajmniej nie szwankują, siedząc zaś godzinami za stołem bez ruchu i pracując tylko głową, dziennikarz zwykle pada ofiarą choroby piersiowej lub nerwowej. Niejeden, czytając dziennik, nawet nie pomyśli o tem, ile to trudu i pracy kosztowało to słowo każde, które jemu służy ku nauce lub rozrywce.

Zróbcież więc i wy swoje, czytelnicy i abonenci pism uczciwych i chrześcijańskich, popierajcie je z zapałem, zaś autorów, wydawców i redakcye takich pism darzcie zaufaniem waszem i wdzięcznością. Zapamię-

tajcie też sobie dobrze słowa, wypowiedziane niedawno przez Ojca ś-go Piusa X na posłuchaniu do redaktora jednego z pism katolickich:

„Nie wiem, czy jest piękniejsze zadanie — mówił Ojciec święty — nad to, które spełniacie panowie dziennikarze. .Błogosławię symbol waszego powołania. .Moi poprzednicy błogosławili oręż rycerzy Chrystusowych. Ja zaś czuję się szczęśliwy, że mogę zlać błogosławieństwo niebios na pióro chrześcijańskiego redaktora. Jedyną, można powiedzieć, przyczyną upadku wiary za dni naszych w sercach ludzkich są złe gazety. One to szerzą zgubne zasady wolnej nauki i wolnych obyczajów, niszcząc co Boże, co prawdziwe, dobre i piękne. Oto słowa Ojca świętego, które złotemi zgłoskami należałoby w pamięci wszystkich zapisać. Wybitny jeden katolik powiedział niedawno: „Niebo i piekło w czasach dzisiejszych prowadzą przeciwko sobie walkę papierem i drukiem. Jeżeli chcesz należeć do Chrystusa, to trzymaj się tylko pism katolickich, każdym zaś groszem wydanym na złe pisemka, dajesz djabłu zastaw na duszę swoją“. *Tak papierem i drukiem niebo i piekło zaciętą dziś z sobą wojnę prowadzą, a w wojnie nie rozchodzi się o tysiące, o miliony dusz odkupionych krwią Chrystusową. Błogosławiony dziennikarz, walczący po stronie Chrystusa piórem przeciw kłamstwu i zepsuciu, błogosławiony i ten, co dobrą gazetę prenumeruje, bo i on staje w szeregu obrońców Chrystusowych“.*

Zapamiętajcież sobie dobrze, szczególnie te ostatnie słowa Ojca świętego: *„Błogosławiony ten, co dobrą gazetę prenumeruje“.*

Piękność historyi Polskiej.

Znacie zapewne i cenicie te szanowne cechy ojców naszych, które ich od innych ludów wyosobniały i nawet domowe ich obyczaje w oddzielnym jakimś stroju i postaci malowały. Owa szlachetność i wyniosłość duszy w każdym kroku i postępku, owa gościnność wspaniała i wylana ludzkość — i tyle innych przymiotów, które z pnia Sarmatów pokoleniami w gałązkę się Słowian przelały.

Któżby nie chciał widzieć ożyłej w pieśniach lub historyi owej Rzepichy, Piastów naszych starożytnej prababki, z jaką się ona zwinnością po wszystkich domu kątach krzątała, aby dwóch nieznajomych pielgrzymów, do swej chatki przybyłych, nakarmić i uczcić, kiedy tymczasem jej mąż ostatnią kroplą miodu zgłodniałych rycerzów naszych uraczał? Ktoby się nie rozrzewnił pamiętną walką przyjaźni między Leszkiem Białym a Goworkiem, z których jeden nędzę i wygnanie obiera, aby pana ocalił, drugi państwa się wyrzekał, aby przyjaciela nie stracił? Kogoby nie nauczył zgodę sąsiedzką miłować ów Saryusz, przodek sławnego rodu Zamoyskich, który na placu bitwy pod Płowcami, ranami okryty, ciosami przywalony, trzewia wydarte niezwalczoną ręką w siebie

tłoczy, litującemu się Łokietkowi odpowiada: „To nic, królu, wszystko dobre i znośne dla ojczyzny; gorszy zły sąsiad“. Ktoby się słusznie nie chełpił ową szlachetną wspaniałością Jana Habdanka, po naszemu Skarbka, który imieniem Bolesława Krzywoustego układając pokój z Henrykiem, cesarzem, kiedy ten chcąc więcej wytargować, długo się komosił i wskazując skarby wiekami zbierane, dumnie groził: „tem ukrócę Polaków!“ — Skarbek na to, zrzuciwszy z ręki kosztowny pierścień, odpowiedział: „Masz złoto do złota?“ Spostrzegł się cesarz i staniał, widząc, że z drugimi Rzymianami miał do czynienia, którzy woleli rozkazywać narodom w złoto bogatym, niż dla złota onym się uniżać. Nie mniej w podobnem nieco zdarzeniu pokazał się Polakiem prawdziwym ów Krzysztof Zbaraski, który, godząc się z Turkami o wykupno z niewoli Polaków, kiedy za tak drogi towar hojnie szafował szkatułą, chciał go wezyr w tem przynajmniej upokorzyć, aby z odkrytą głową sułtana uszanował. — „Głowę mi wprzód zdejmiesz, niż czapkę!“ — odpowiedział Zbaraski. Nie o czapkę zapewne chodziło, ale że Polak dawny karku podle nachylać nie umiał.

Jest-że które imię między nami, żeby się jakim szlachetnym czynem, posługą, ofiarą, talentem nie uwieczniło? Wieleż to dzieł heroicznych i wysiłków duszy polskiej w zapomnieniu i zagrzebaniu zostaje, którymiby Grecy i Rzymianie dzieła poetów swoich zbogacili! Kto się nie zadziwi nad owymi dwoma Zawiszami, którzy na dworze Zygmunta cesarza, w powagę, w znaczenie i bogate dzierżawy zamożni, dowiedziawszy się o zamachach przeciw swojej ojczyźnie, wojną krzyżacką zagrożonej, w oka mgnieniu obcą ziemię opuścili, a dniem i nocą z drugimi Polakami do obozu królewskiego pod Grunwaldem przylecieli? Cenności bogactwa, hojne obietnice cesarskie, byłyby dla innych łańcuchem i okową, a dla Polaków stały się siecią pajęczą, skoro chodziło o ratunek ojczyzny. Któżby się nie rozrzewnił nad owym Kowalskim Krabczykiem, który w bitwie sztandar ratując, gdy jedną utracił rękę, bronił się drugą; a gdy i ta była mu odciętą, owinął się jak mógł tym świętym znakiem ojczyzny, rzucił się z nim na ziemię i wolał w sztuki dać się rozsiekać, niż być pierwszym Polakiem w oddaniu żywcem chorągwi nieprzyjacielowi!

Ale czyż tylko na placu bitwy można być wielkim? Dusza człowieka jest wiecznym obrazem Bóstwa; więc gdzie się tylko obróci, wielkość, godność i dostojność jej towarzyszą. A następnie i ten ma przywilej, że jednym rzutem przeszłość i wszystkie wieki ogarnia. Spytajmy więc ostatnich nawet czasów, czy zawsze i wszędzie takimi byli Polacy? Pamiętny traktat Karłowicki, trudem i znojem Małachowskiego dokończony, wracał Polakom Kamieniec z Podolem. Kątski Marcin, jako na ów czas jenerał artyleryi, miał obowiązek odebrać tę warownię i zbrojownię.

Oddawał ją ze strony Turków jeden aga; a wprowadziwszy Kątskiego między lochy prochami napełnione, rozjadowiony wściekłością z utraty takiej zdobyczy, rzucił między prochy zarzewie ognia, aby i siebie i Kątskiego i cały Kamieniec w gruzach zagrzebać. Kątski nie zmieszany, porwał ten zarodek, tysiącami śmierci i rozwalin iskrzący się, i dał mu spokojnie na ręce swojej dogorzeć. Osłupiał barbarzyńca; bóstwem w jego oczach zdawał się Kątski — a on tylko był Polakiem, który swoją wspaniałą wytrwałością i miasto i krocie ludzi od zguby uratował.

Król, biedny oberżysta i dzik.

Kilka wiorst od Rzymu znajduje się mała oberża, gdzie zbierają się wieśniacy i robotnicy na szklankę wina. Ricciotti rzadko miewa bogatszych gości.

Jednego dnia przed oberżą zatrzymał się uszkodzony samochód, z którego wysiadło parę osób, pomiędzy niemi król Wiktor Emanuel, wracający z polowania.

Rozradowany i jednocześnie zażenowany gospodarz z zachwytem przyglądał się po kolei samochodowi, królowi i wspaniałemu dzikowi, zdobyczy łowów, leżącemu u nóg palacza. I pomimo całego uszanowania dla dostojnego gościa, nie mógł się powstrzymać od zrobienia cichej uwagi:

— Co za śliczny dzik! Z takiem zwierzęciem przez jedną niedzielę zrobiłbym majątek!

Król udał, że nic nie słyszał i zostawiwszy suty napiwek, odjechał z dzikiem, przeznaczonym dla jednego ze szpitali rzymskich.

I oto w piątek przyszłego tygodnia przed oberżą Ricciotti'ego zatrzymał się ten sam automobil, przywożąc króla i królową Helenę. Z tyłu zaś wisiał ogromny dzik, jeszcze wspanialszy od poprzedniego.

Na spotkanie gości wybiegł z gołą głową gospodarz, przypuszczając nowe uszkodzenie powozu, ale król Wiktor Emanuel położył mu rękę na ramieniu mówiąc:

— I cóż przyjacielu, ciągle jeszcze trwasz przy zamiarze zrobienia majątku? Oto dzik na twoją niedzielę!

I kiedy zmieszany gospodarz stał bez ruchu, nie rozumiejąc, czy to sen, czy rzeczywistość, palacz złożył u jego nóg dzika, poczem automobil odjechał.

Historya ta wnet się dostała do Rzymu i w niedzielę tłumy przyszły do oberży Ricciotti'ego zjeść po kawałku sławnego dzika, dzika królewskiego.

Od tej chwili oberża została nazwaną: „Pod królewskim dzikiem".

Sokrates o pracy. Mędrzec grecki Sokrates (żył od r. 470 — 399 przed Chr.) spostrzegł razu pewnego, że Arystarch, jeden z jego przyjaciół, nadzwyczaj skłopotane miał oblicze.

— Kochany przyjacielu — mówi do niego Sokrates — zdaje mi się, że ci coś dolega, a co nas dręczy, zwykle przyjaciołom powierzać powinniśmy. Być może, że oni nam pomogą do ulżenia ciężaru.

— O, tak, drogi Sokratesie! — odparł Arystarch — znajduję się w wielce kłopotliwem położeniu. Wiesz, że skutkiem obecnego powstania, wielu obywateli zmuszonych było uciekać do Pireus, zjechało się też do mnie rodzeństwo tak licznie, że nie rachując niewolników, jest u nas w domu osób czternaście. Posiadłości ziemskie wcale nie procentują, bo je przeciwna partya zagarnęła przemocą; z domu również nie ma dochodu, bo się wszyscy z miasta wynieśli; sprzedać mebli i sprzętów nie można; pożyczki zaciągnąć niepodobna; liczyć trzeba chyba na jakąś nadzwyczajną pomoc, czy też znalezienie pieniędzy na ulicy. Łatwo więc pojmiesz, że w takim stanie, widząc zwłaszcza łaknących krewnych, ból serce ściska, a jeszcze mi boleśniej gdy pomyślę, że niema środka wyżywienia ich wszystkich jak należy.

Sokrates słuchał, nic nie mówiąc, aż wreszcie odezwał się:

— Powiedz mi, mój przyjacielu, czem się to dzieje, że Ceramon, który równie sporo ludzi miał do wyżywienia, nietylko zaspokoił potrzeby życia, ale nadto odłożył jeszcze tyle, że się stał bogatym, a ty tymczasem, dla braku odpowiednich środków, zagrożony jesteś wraz ze swoimi krewnymi głodową śmiercią?...

— O, na to bardzo łatwa odpowiedź — rzekł Arystarch — on ma niewolników, ja przeciwnie, wolnych ludzi do żywienia.

— Komuż więc tedy przyznajesz przywileje człowiecze, czy twoim wolnym ludziom, czy niewolnikom Ceramona?

— Bardzo naturalnie, moim wolnym ludziom.

— Czyliż to nie hańba, że on przy pomocy owych nieludzi stał się bogatym, a ty z wolnymi ludźmi mrzesz głód i nędzę?

— Ba, nic dziwnego, jego niewolnicy są rzemieślnikami, moi wolni, ludźmi wyższych pojęć.

— Ażaliż artyści i rzemieślnicy nie są to ludzie, którzy coś pożytecznego zdziałać potrafią?

— Bezwątpienia.

— A krupy owsiane naprzykład, czy należą do pożytecznych rzeczy?

— Najzupełniej.

— I chleb także?

— Ma się rozumieć.

— A części ubrania dla obu płci, jak spodnie, surduty, chustki?

— Rzeczy istotnie pożyteczne.

— Więc tedy, czy twoi wolni ludzie znają się na tem wszystkiem i potrafią to zrobić?

— Tak sądzę.

— Alboż nie wiesz o tem, że Stauficydes z jednej tylko podobnej roboty, mianowicie przygotowując krupy, nietylko siebie i swoich żywił, ale karmił jeszcze trzodę chlewną i woły, nadto tyle złożył, że jest w stanie przyjść z pomocą pieniężną krajowi? że Civibos z piekarni utrzymuje cały dom i żyje na wysoką skale? że Demebos i Colyttos zajmując się sporządzaniem wierzchnich ubrań, również żyją wygodnie, tak jak Menon ze szycia surdutów, a większa część Megarensów z napierśników?

— Wierzę temu. Oni mają kupnych barbarzyńców, którzy mogą być przymuszonymi do roboty. Moi zaś ludzie, przeciwnie, urodzili się wolnymi i są mi kuzynami.

— Więc mniemasz, że ponieważ są oni ludźmi wolnymi i twoimi kuzynami, mogą nic więcej, jak tylko jeść i spać?—Albo też sądzisz, że inni wolni ludzie, którzy to czynią, lepszymi są i szczęśliwszy los mają, niż ci, którzy posiadają proceder i zajmują się nim? Albo uważasz, że ospałość i lenistwo, jak równie zaniedbanie nabycia pożytecznych wiadomości przyczynia się do umocnienia zdrowia, daje siłę, i zdolności zdobycia potrzebnych środków do zaspokojenia potrzeb, i że pracowitość i pilność nie ma najmniejszego znaczenia w życiu człowieka? Albo, że oni, wedle twoich własnych twierdzeń, wyuczyli się tego wszystkiego w przekonaniu, że się to na nic nie przyda, że nie zrobią z tego żadnego użytku? Kto wreszcie prędzej przywyka do życia moralnego i porządnego? czy leniuch, czy ten, który się czemś pożytecznem zajmuje? Kto sumienniej wykonywa obowiązki sprawiedliwości, pilny i pracowity, czy próżniak? Kto bojaźliwiej, z większym przestrachem myśli o koniecznych, niezbędnych potrzebach życia i bardziej waha się przy wyborze środków? Jeżeli w tym znajdujecie się do siebie stosunku, to wierz mi, ani ty dla nich nie jesteś bardzo życzliwym, ani oni dla ciebie. Ty dla nich dlatego, ponieważ myślisz, że cię wystawiają na koszta, że narazili cię na wydatki, oni zaś dlatego, że nie czują, iż są dla ciebie ciężarem. Wskutek tego coraz bardziej oddalacie się od siebie, stajecie się obcymi i staracie się zapominać o wzajemnych usługach, o wdzięczności za już wyświadczone dobrodziejstwa. Przeciwnie zaś, gdy wprowadzisz ich w czynne życie, zyskasz na życzliwości, przekonasz się bowiem, że są dla ciebie użyteczni a oni wzajemnie pokochają cię, bo będą widzieli, że

praca ich i postępki sprawiają ci przyjemność. Wówczas z ukontentowaniem przypomniane zostaną dawne dobrodziejstwa, uczucie wdzięczności będzie żywsze, a zatem i stosunki wzajemne będą przyjacielskie, pełne zaufania.

Nie nastawaj na nich, aby zajęli się nieodpowiednim procederem, ale pobudź ich tylko do pracy, wskaż im drogę, a ręczę ci, że się wezmą do tego, co dla nich stosowne z największą ochotą.

— Rzeczywiście — odpowiada Arystarch — to wszystko, coś mi mówił, wielce mi się podoba. Aż dotąd nie miałem odwagi pożyczyć pieniędzy, wiedziałem, że nie będę w stanie ich oddać. Teraz zaś obudziłeś we mnie otuchę i najlepsze chęci, wezmę się więc do dzieła.

Jakoż kupił, co było potrzeba i urządził jak należało. Pracując, śniadano wesoło. Po ukończeniu pracy z równą wesołością i przyjemnością siadano do obiadu. Niedawno smutne twarze rozjaśniał uśmiech zadowolenia i szczęścia. Nikt ukośnem nie rzucał okiem, ale wszyscy śmiało patrzyli sobie w oczy. Pokochali go, jako doradcę i przyjaciela, on zaś jako pożytecznych domowników.

Wkrótce też Arystarch odwiedził znowu Sokratesa, żeby mu o wszystkiem opowiedzieć, a był wesół i w najlepszym usposobieniu ducha.

Po krótkiej jednak opowieści Arystarch rzecze:

— Jedno mnie tylko martwi, że mi wszyscy mogą czynić wyrzuty, że ja jeden tylko z całego domu jem bez pracy.

Na to Sokrates:

— No, no, i na to jest sposób, oto opowiedz im bajkę o psie. Posłuchaj! Kiedy zwierzęta obdarzone jeszcze były mową, rzekła razu jednego owca do pasterza:

— Dziwna to zaprawdę rzecz, że my dajemy ci swoją wełnę, jagniątka i dostarczamy sera, a ty nam nic nie dajesz i żywić się musimy tem, co znajdziemy na wygonie. Przeciwnie zaś psu, z którego nie masz najmniejszej korzyści, udzielasz pokarmów, które sam spożywasz i prawie się z nim dzielisz ostatnim kawałkiem chleba.

— Bo tak być powinno — przerwał pies, słuchający opowiadania. — Ja właśnie strzegę was, ja was bronię od złodziei i drapieżnych wilków. Gdybym nad wami we dnie i w nocy nie czuwał, trwoga i śmiertelna obawa nie pozwoliłyby wam żyć spokojnie.

Owce przyznały słuszność dzielnemu psu i nie spierały się więcej o przywileje, jakich używał.

Otóż tedy powiedz swojemu krewnemu, że jak ów pies w bajce, tak i ty jesteś ich stróżem i obrońcą. Tobie właśnie zawdzięczają oni,

że ich nikt nie prześladuje i nie niepokoi, mogą więc bezpiecznie zajmować się pracą.

Arystarch odszedł zadowolony.

Pije Kuba do Jakóba.

...Zimno! — Napijmy się!

Gorąco! — Napijmy się!

Niedziela. Święto! — Napijmy się!

Jarmark! Sprzedałeś! Kupiłeś! — Napijmy się!

Smutnyś! — Napijmy się!

Ochotnyś! — Napijmy się!

Wesele! Chrzciny! Pogrzeb! — Pijmy!

Pijmy! Pijmy!

A jakże? Czemu nie? Jeżeli nie wódki, to herbaty z rumem — piwa — wina — miodu. A mocny człowiek po kieliszku, tylko się na nogach utrzymać nie może. Ale to nic. Za to patrzcie, co uciechy.

Ten pięścią w stół wali, mało go nie rozłupie — tamten ciągnie babę za chustkę, a śmieje się, jakby mu klepki w głowie brakowało — inny językiem miele, jak młyn po zbiórce. A całują się, a kłócą, a znowu całują i płaczą. Baby dzieciakom kieliszek wylizywać dają, aż wszyscy podśpiewując, a zataczając się, wracają po godnie spędzonym wypoczynku niedzielnym do domu. Hej! Dobry Boże! jaki to tam pacierz będzie? A matki czy usłyszą w nocy, jak dziecko zapłacze?

Nie! nie!

Bez pacierza zasną, dziecka nie utulą, rano wstaną źli i zmęczeni a póty markotni, póki ich nie skusi chętka: „Eh! Gdyby tak jednego!“

I tak w kółko: pije Kuba do Jakóba!

A wiesz ty człowieku, co ty pijesz?

Pijesz zgubę własną!

Ale czy ty w to uwierzysz? Wolisz przecie wierzyć temu kusicielowi, co cię z domu do karczmy woła: „A chodź, a chodź! Robota nie zając, nie ucieknie, w chacie smutno, baba narzeka, dzieci wrzeszczą, a tam, w salonie kumoter pewnie już za stołem siedzi, a na drzwi spogląda!“

Idź, idź!

Pije Kuba do Jakóba!

Ale nie wierzysz mnie, to uwierz życiu, otwórz oczy i popatrz w koło siebie.

Czy to jeden przepił cały dobytek?

Czy to jeden zeszedł na dziady?

Czy to jeden żył z babą, jak pies z kotem?

Czy to jeden własnych synów na łotrów wykierował?

A przez nic innego, tylko przez alkohol, ten co to w wódce, winie, piwie, rumie, miodzie, wogóle we wszystkich trunkach upajających się znajduje i który tak rozwesela, grzeje i sił dodaje.

Rozwesela? Pewnie. Komu markotno i kto zamiast pomodlić się, zastanowić mądrze, a poszukać na frasunek rady, zagląda do kieliszka, temu nigdy nie będzie naprawdę lepiej. Ten zawsze będzie nie w sobie, nie w poprawie życia, a w kieliszku szukać pociechy. Ale, czy go to rozweseli trwale? Nie. To jest tylko odpychanie strapienia, aby mu w oczy nie zajrzeć. A dopóki ty strapieniu w oczy nie zajrzysz, a nie pomyślisz, jak je zwalczyć, to ci wesołość tylko po wierzchu lata, a czasem tak dojmie, że zamiast śpiewać, płaczesz, albo cię wściekła złość ponosi. To jest wesołość, co siedzi na dnie kieliszka, nic nie warta, bo to tylko chwila zapomnienia. A chwila nie może nam zmienić smutku, tylko praca nad jego odwróceniem.

Ale dlaczego w kieliszku mieści się owo zapomnienie?

Dlatego, że alkohol, to trucizna, która ma tę właściwość, że znieczula czyli paraliżuje niektóre, co delikatniejsze części mózgu, więc pijąc, tracisz pamięć, tracisz nawet przytomność.

No, kiedy tak, dajmy tej wesołości pokój, ale przecież trunki gorące grzeją?

A jakże!

A powiedz, dlaczego pijany człowiek, usnąwszy na mrozie, umiera?

Otóż, widzisz, kiedy pijesz trunki, serce pracuje prędzej i wysyła twą krew ku powierzchni ciała, skąd ciepło krwi uchodzi w powietrze, zaś ciało twoje stygnie. Dlatego pijak, z którego ciepło wypędził alkohol tuż pod skórę, zamarza na mrozie.

Teraz pomyśl, że gdy pijesz dla rozgrzewki alkohol, z twojem ciepłem dzieje się tak samo. — Krew wpędzona pod skórę rozgrzewa ją, a po chwili czyni jeszcze zimniejszą, niż była poprzednio. Zamiast więc ciepło pozyskać, jeszcze je tracisz.

Taki to dobroczyńca ten trunek! Jednakże ma on jeszcze jedną zaletę. Może choć ta okaże się rzetelną? Oto powiadają, że trunek wzmacnia.

W jaki sposób?

A bo kiedy jesteśmy zmęczeni, to po wychyleniu kieliszka czujemy się znowu do roboty zdolni.

Ludzie, chcący się przekonać, czy alkohol naprawdę sił dodaje, robili próbę w wojsku i w fabrykach. Połowie żołnierzy podczas marszu, lub połowie robotników podczas pracy dawano małe dawki trunków — druga połowa była trzeźwą. Okazało się, że żołnierze trzeźwi wracali do koszar mniej zmęczeni a robotnicy pracowali lepiej i wydatniej od tych,

którzy pili. Zrób więc i ty, miły czytelniku, taką próbę w twojem gospodarstwie w twoim własnym domu i na samym sobie, a przekonasz się, że 5 minut odpoczynku z zamkniętemi oczami, są lepszem wzmocnieniem, aniżeli wypicie kieliszka wódki lub kufla piwa.

A dlaczego? Dlatego, że alkohol w trunkach zawarty porusza twą krew na chwilę i ty pośpieszysz żwawiej do roboty. Nie znaczy to jednak, że sił ci przybyło.

Natomiast, gdyś pozwolił sobie odpocząć przez 5 minut, zyskałeś na tem podwójnie. Idziesz do roboty naturalnie, bez sztucznej podniety, jaką jest alkohol, a potem nie wydałeś parę groszy bez potrzeby i pożytku.

Gdybyś tak zbierał wszystkie te grosze, które wyrzucasz na trunek ze szkodą własną i swojej rodziny? — Polecam ci składać i te, które puszczasz z dymem tytuniowym; — hej, mocny Boże! Niedługo byłaby ich setka, a po latach kilku tysiączek!

A czy alkohol ma tę tylko wadę, że jest fałszywym przyjacielem człowieka, oszukańcem, co go mami, zawodzi? Nie na tem złego koniec. Nie zdołałby on tyle ludzi, tyle rodzin unieszczęśliwić, gdyby nie wżerał się głęboko w nasze ciało i duszę.

Alkohol psuje w człowieku wnętrzności. Lekarz, wyjąwszy je ze zmarłego ciała, pozna, czy nieboszczyk był alkoholikiem, to jest człowiekiem, który pijał często, może codziennie, chociaż się nie upijał. Bo nietylko upijanie się szkodzi nam, ale wogóle picie! Wątroba, serce, żołądek, nerki zmieniają się w człowieku pijącym. Rozszerzają się, porastają tłuszczem, albo maleją, jakby wycieńczone, wyssane z siły żywotnej przez trunek. Jedne i drugie zmiany w tych częściach ciała naszego — to choroba — a często i śmierć człowieka.

Najnieszczęśliwsze są dzieci, zrodzone z rodziców nietrzeźwych.

Skłonne do wszystkich chorób, wpadają w suchoty, są tępe do nauki albo od urodzenia pokraki i głuptasy. Ciężarem są rodzinie, albo i miastu, a pośmiewiskiem wszystkich, którzy nie wiedzą, że litowaćby się nad nimi należało, a karcić tych nierozumnych i słabych ojców, którzy po pijanemu dali niewinnemi, biednemu dziecku życie.

A ileż to grzechów popełnia pijany? Ile kradzieży? Ile morderstw? — zapomniawszy pod wpływem alkoholu o przykazaniach boskich? Obliczono, że na 100 ludzi 70-ciu zapędził do kryminału alkohol.

A ile ofiar pijaństwa leży po szpitalach? Ile ich zamknięto w domach obłąkanych?

Strach pomyśleć, że człowiek wyrządza sam sobie taką krzywdę, pijąc! Ten mały kieliszek trunku gorącego, który z taką lubością wychylasz, to największy złoczyńca na ziemi. Podpalacz, złodziej, zabójca, mar-

notrawnik, oni wszyscy tkwią w tym jednym małym kieliszku, w tym jednym łyku wysączonym przez ciebie, bo w ten sposób zło rozszerza się w nas i w naszem otoczeniu, co gorzej w naszem pokoleniu. Odrzućmy tego zdrajcę! Tego ukrytego nieprzyjaciela! Precz z nim! Precz z alkoholem!

Trzeźwo się radujmy, trzeźwo pracujmy, a da Bóg — przyszłość nasza!

Wieczór listopadowy. W smutny wieczór listopadowy, gdy wiatr świstał po ulicach, a przejmujące zimno zapędzało ludzi do domów, przyszedł do mnie mój stary, dobry przyjaciel.

Siedziałem wówczas przy biurku, zajęty poszukiwaniem jakiegoś przedmiotu w szufladzie. Nie zdążyłem go jeszcze znaleźć, gdy oczy moje padły na kilka drobiazgów, stanowiących t. zw. pamiątki rodzinne. Był to pierścień z napisem „Powrót do Ojczyzny" i z datą 12 sierpnia 1814 r., były szlify porucznikowskie mojego dziadka, kilka pożółkłych listów, pisanych przez niego do rodziny z Torunia, gdzie znalazł się ze swoim pułkiem po przejściu granicy, wreszcie był mały z chleba ulepiony krzyżyk — dzieło mojego ojca z czasów jego pobytu w więzieniu Olkuskiem w r. 1863.

Ten krzyżyk gość mój wziął do ręki i przyjrzał mu się uważnie.

— Czy wiesz, rzekł potem, że literalnie taki sam krzyżyk mam u siebie w biurku? Wtedy takie krzyżyki lepiono.

Zdarza się czasem, że jeden wyraz, rzucony znienacka, daje niewyczerpany temat do rozmowy. Tak właśnie było tego wieczoru z wyrazem wtedy. Od skromnego pamiątkowego krzyżyka przeszliśmy do całej epoki, do ludzi, do wypadków, do kraju i do narodu, do czasów dawniejszych i do czasów obecnych.

Usta nasze rozwiązały się, myśli nasze były ostre i przebijały śmiało przyszłość, ogarniając jednocześnie przeszłość daleką od nas.

Przyjaciel mój był usposobiony do rozmowy. Mówił długo i wyczerpująco o kwestjach, których dotąd nigdy jeszcze nie dotykał, a które zdawało mi się nieraz, były mu zupełnie obojętne. Rozgrzewał się i nabierał zapału.

— Pamiętam — rzekł w pewnym momencie rozmowy — wiele rzeczy z lat dziecięcych, najlepiej jednak pamiętam wszystko, co opowiadał mi dziadek. W jego pokoju zbieraliśmy się zawsze po obiedzie, czasem dlatego, żeby wysłuchać jakiejś nauki moralnej, najczęściej jednak po to, ażeby dowiedzieć się czegoś o wypadkach, w których brał udział. Sypały się wówczas i anegdoty żołnierskie i dykteryjki z czasów akademickich, a w dziecięcej mojej wyobraźni rysowały się wyraźnie po-

stać młodego ułana, który wprost z ławy uniwersyteckiej wszedł do szeregów, i któremu stary, wąsaty wachmistrz dokuczał nieustannie ustawicznem przypominaniem, że „lanca — to nie pióro“.

Pamiętam, jak dziadek odcinał się na to i jak później ten sam wachmistrz uprowadzał go z pola bitwy, gdy kula zraniła mu nogę, a krew „buchała z cholewy, jak woda z cebra“. Doskonale znałem cały przebieg wszystkich potyczek i dzieje całego pułku, w którym służył, jego przygody na wychodźtwie, powrót do kraju, kozę, którą odsiadywał w kilkanaście lat potem „za czarną wstążkę u kapelusza“, wreszcie spokojną starość tego szlachcica-demokraty o typie, jaki już dzisiaj zupełnie zniknął z powierzchni ziemi polskiej. Jemu też, a nikomu innemu zawdzięczam ten blizki swój związek z przeszłością, tę możność intuicyjnego odczuwania epoki, stosunkowo dalekiej odemnie. Ojciec mój był już zupełnie innego pokroju człowiekiem. Zgorzkniał przedwcześnie, a nie lubił opowiadać o „górnej i chmurnej“ swojej młodości. Był pesymistą i zwolennikiem pracy organicznej. Od dziadka tedy wyłącznie dostało mi się w puściźnie to, co stanowi dziś nić żywej tradycyi pomiędzy nią, a pokoleniem, do którego on należał. Miałem lat 10, kiedy te usta, które tak lubiły opowiadać ze swadą i animuszem o bohaterskiej przeszłości, zamilkły na zawsze. Silne jednak musiały być wrażenia, jeżeli to wszystko, co usłyszałem, zostało we mnie do dziś dnia i wiem, że nic mi nie zdoła już wyrwać tego z pamięci. Nadto taką przypisuję wagę do tego i takie mam wewnętrzne pragnienie przekazania dalej tej puścizny, że kiedy rozmawiam z moimi synami, nie opowiadam im o niczem innem, jak tylko o przygodach dziadka. W ten sposób dziadek będzie żył jeszcze przynajmniej przez jedno pokolenie w mojej rodzinie, a razem z nim przetrwa to wszystko, co godne jest trwania.

Czynię to, bo sądzę, że jednym z najpierwszych obowiązków naszego pokolenia, które z woli losów stanęło na rubieży „pomiędzy dawnemi a nowszemi laty“, jest pilna dbałość o to, ażeby umiejętnie podać nić dawnych tradycyi pokoleniom, które przyjdą po nas, które już idą, których krok o szybkiem tempie słychać, gdy tylko ucho wytężyć.

Nieraz jednak zadaje sobie pytanie, czy pokolenie nasze należycie ten obowiązek pojmuje i czy go spełnia w całej rozciągłości?

Rozglądam się dokoła siebie i mam czasem to smutne uczucie, że coś się rwie, coś zanika, że nad czemś drogiem dla mnie i dla wielu innych, stawia się krzyż, że są w naszem społeczeństwie buchalterowie, którzy koniecznie chcieliby zamknąć dawną księgę naszych tradycyi jakimś fikcyjnym bilansem i rozpocząć rachunki na nowo, od białej karty, a może nawet od tych kart, które zbryzgała krew, polskim dziejom nie-

znana. Może się mylę, może jestem zanadto wrażliwy na pewne objawy. Bądź co bądź jednak nie zaprzeczysz, że stoimy na punkcie zwrotnym. Jedno stulecie naszego istnienia porozbiorowego skończyło się i jest poniekąd całością zamkniętą w sobie, zaczyna się niewątpliwie epoka inna, epoka nowa. Jaką ona będzie — dziś przewidzieć niepodobna. Być może, czeka nas przyszłość bardzo jasna, zapewniająca swobody, rozwój wszystkim siłom duchowym naszego narodu, przyszłość, która nas powróci na drogę, po której cywilizacya i kultura nasza kroczyć powinny. Mniemanie jednak odwrotne również nie jest pozbawione cech prawdopodobieństwa. Mogą nas czekać lata bardzo ciężkich doświadczeń, bardzo uporczywych zmagań się z przeciwnościami. Otóż wiemy dobrze o tem, że najsilniejszą naszą bronią i najbardziej zahartowaną tarczą, o którą rozbijały się wszystkie wymierzane w nas pociski — była siła naszych tradycyi narodowych. Skupione w każdej niemal rodzinie polskiej stanowiły one tę więź niewidzialną, która łączyła ludzi z ludźmi, pokolenia z pokoleniami. Te tradycye idą od konfederatów barskich aż do naszych czasów. Są to iskry z wielkich ognisk, iskry, które mają moc tlenia pod popiołami, i które muszą być uważane za wieczyste zarzewie naszego bytu narodowego.

Jedna była idea, która nas wiodła, jak słup Mojżeszowy przez lata najgorsze i ta idea czerpała swoją moc z tradycyi i w ich cieple odradzała się. To, co mnie opowiadał mój dziadek, a pod wpływem czego w chłopięcej mojej duszy budziło się pierwsze poczucie związku z ziemią i z narodem, tysiące innych dziadków opowiadało dziesiątkom tysięcy wnuków i do niedawno jeszcze nie było w Polsce rodziny, którąby żyła poza sferą tych tradycyi, której obce byłyby nadzieje, wiary i ukochania, smutki, cierpienia i łzy pokoleń poprzednich.

Dzisiaj rodziny takie zaczynają się zjawiać.

— To rzecz zupełnie naturalna — mówią mi na to. Demokratyzujemy się. Do „narodu“ wchodzą te warstwy, które nie mają swojego wczoraj, ale przed któremi jest jutro.

Bardzo dobrze. Objaw to radosny, który w każdem sercu budzi nadzieję i krzepi je otuchą.

Ale pamiętajmy o przeszłości! Kto wchodzi do narodu, tego obowiązuje to wszystko, co naród już przeżył, musi on obejrzeć się za siebie, musi przejść w skróceniu tę drogę, po której przed nim szli inni.

I kto naprawdę „wchodzi do narodu“ — ten własnym czyni to instynktem z potrzebą własnej duszy. że tak jest, najlepszy dowód stanowi lud polski. Uświadomione z pośród niego jednostki garną się przedewszystkiem do przeszłości narodowej, do poznawania dziejów oj-

czystych. Szukają tam pokarmu dla siebie i — odnajdują tam siebie, odnajdują ducha, należącego nie do jednej warstwy, ale do całego narodu. Nieśmiertelny duch rasy tkwi bowiem tak samo w tem, co uczyniła szlachta, wypisując szablą swoje imię na kartach naszej przeszłości, jak tkwić będzie w tem, co uczyni lud, budowniczy naszej przyszłości.

Lud polski nie zerwie więc i nie zgubi nici tradycyi polskiej, ale niewątpliwie nawiąże tę nić i umocni, biorąc ją na przechowanie do siebie, do prostej komory swojego serca, które umie wierzyć i kochać, a które jest mocnem i bezpiecznem schowaniem.

Nie grozi więc z tej strony sile i żywotności naszych tradycyi narodowych żadne niebezpieczeństwo. Przeciwnie, tą drogą nastąpi tylko obdzielenie się szerokich mas komunią duchową, która dotąd spoczywała w zamkniętem i szczupłem skarbcu. Pokrywa tego skarbca już się podnosi, a niebawem podniesie się zupełnie.

Niebezpieczeństwo zaś, jeżeli istnieje, płynie zupełnie skądinąd— płynie z pewnego oziębienia serc, z pewnej obojętności uczuć klas inteligentnych.

Jesteśmy pokoleniem, które jeżeli nie wyłącznie, to przedewszystkiem wierzyło w rozum i żyło rozumem. Badając i rozważając przeszłość, doszliśmy do hyperkrytycyzmu w jej ocenie. Osądziliśmy naszych dziadów i naszych ojców zbyt surowo, może w niejednym wypadku słusznie, może w innych niesłusznie, z wyjątkową dozą ignorancyi, bo i tak bywało. Ale nie spostrzegliśmy, jak przy tem sądzeniu powoli niedostrzegalnie krew uciekała nam z serca. Nie spostrzegliśmy, jak to serce stawało się coraz mniej zdolne do prostej, szczerej miłości. I wskutek tego nasz związek z przeszłością zaczął się powoli rozluźniać, tradycye, któremi żyli nasi poprzednicy, nie pielęgnowane dostatecznie, zaczęły wygasać, ciągłość naszego życia uczuciowego zerwała się.

Są jeszcze w naszym języku wyrazy święte dla wszystkich, ale jest ich coraz mniej i brzmienie ich jest coraz inne. Brak kultury uczuciowej i warunki, w jakich rozwijaliśmy się, zrobiły swoje. I oto doszliśmy do chwili, która jest niewątpliwie chwilą przełomową. Wołamy o nowe życie i pragniemy to nowe życie zacząć. Jakie ono będzie — nie wiem, ale wiem, że do jego pełni i doskonałości potrzeba nietylko rozumu i przezorności, ale i starannej kultury uczuć narodowych, które najpewniej zagwarantują ciągłość rozwojową duszy polskiej, bo były najpiękniejszym i najbujniejszym jej kwiatem.

Jaskółki jako zwierzęta domowe. Każdemu gospodarzowi wiadomo, jak nieznośną plagą dla zwierząt domowych są muchy w porze letniej.

Bydło i konie nie mają w stajniach ani chwili spoczynku, gdyż są napastowane bezustannie przez te owady i zmuszone są opędzać się bez przerwy od tego dokuczliwego napastnika. W celu uwolnienia stajen od tego owadu, zalecane są rozmaite środki, jak zaciemnianie stajen, urządzanie w nich silniejszego powiewu powietrza, bielenia ścian wapnem z dodatkiem ałunu i t. p. Środki te nie są złe i liczba much zmniejsza się trochę w stajniach, ale te same muchy, wypędzone częściowo ze stajen, przenoszą się do domów mieszkalnych, kuchen i na pastwiska, i tam znów dokuczają.

Pewien gospodarz pisze o tej sprawie, co następuje: W mojem podwórzu gospodarskiem jest długa stajnia, która zapełniona jest znaczną ilością bydła, a w ogrodzie znajduje się staw i rowy, a pomimo to much i komarów prawie u mnie niema. Cały sekret tego polega na tem, że postarałem się, ażeby większa ilość jaskółek u mnie się osiedliła. W tym celu poumieszczałem deszczułki odpowiednio wycięte wszędzie, gdzie się tylko dało, a więc na gzymsie budynku od strony południowej, a także i wewnątrz stajen na wierzchu filarów i t. p. Takie deszczułki służą jaskółkom na podstawę przy budowie gniazd. Na frontowej ścianie zaś powbijałem w tym celu łaty drewniane. Jaskółki chętnie też z mojej pomocy skorzystały i ulepiły znaczną liczbę gniazd, tak, że na zewnętrznej ścianie pod dachem naliczyłem ich przeszło 100, a wewnątrz stajen około 50. Na 10 gniazd mamy już 300 sztuk starych jaskółek, a że każda para wysiaduje 2 razy 3 — 5 młodych, przeto okrągło liczyć można, że tych pożytecznych zwierzątek jest u mnie co najmniej 1,200 sztuk, które bezustannie są w ruchu, w pogoni za muchami i komarami. Nic przeto dziwnego, że u mnie much i komarów prawie niema, a raczej dziwić się trzeba, jak ta liczna, skrzydlata gromada może się wyżywić. Radzę szczerze rolnikom pójść za moim przykładem, a uwolnią się w ten sposób bez żadnego kłopotu i kosztu od tych dręczycieli naszych zwierząt domowych.



NIE ZABIJAJ!

Jak pamiętać o zdrowiu.

Pracownik, zajęty umysłowo czy też fizycznie, powinien ćwiczyć członki i mięśnie, a najwięcej ci, którzy najmniej podlegają pracy fizycznej.

Że szlachetne ćwiczenie ciała, gry i przechadzki stanowią znakomity środek zahartowania ciała, o tem wiemy wszyscy, tylko nie powinno ćwiczenie fizyczne przedzierżgać się w sport zgubny. Potępić należy zwłaszcza wszelkie niepotrzebne szafowanie siłami. Rzadko kiedy siłacz popisowy dochodzi do starości, wszyscy umierają przedwcześnie z powodu rozdęcia serca. Kto niema sposobności do gimnastykowania, ten niechże z pomocą kilku ćwiczeń na świeżem powietrzu usunie z ciała nagromadzony w niem osad i poruszy znowu żywiej zatrzymujący się obieg krwi.

Doskonałym środkiem, by ciału robotnika zachować odporność ogólną, są dalej kąpiele, połączone z pływaniem. Niestety, tak niewielu robotników korzysta z tych środków hartujących, pomimo, że nadarzają się ku temu rozliczne sposobności.

Wielu robotników musi pracować, siedząc. Niechaj robotnik stara się o to, aby powstrzymana, wolno i leniwie krążąca krew powróciła znowu do szybszego tempa, do żwawszego obiegu po za godzinami pracy. W chwilach wolnych niech się porusza, gimnastykuje i kąpie się. Właśnie zimna woda i zimny natrysk orzeźwiają wszystko, co ospałe i ociężałe, dodają krwi ruchu i życia. Zwłaszcza wszystkim, na hemoroidalne cierpienia niedomagającym, nie można dosyć zalecić zimnych kąpieli nasiadowych, które każdy może bez trudu wziąć w swem mieszkaniu, ponieważ nie trwają dłużej, jak pół minuty. Po takich kąpielach trzeba używać ruchu.

Co do pielęgnowania oczu, to wielu jest tak nierozsądnych, że wyrywają rzęsy, które mają oczy ochronić od pyłu. Ponieważ widzimy, że nadmiar krwi w głowie a tem samem i w oku sprowadza wiele chorób ocznych, przeto należy starać się o powstrzymanie tej krwi od uderzenia do głowy. Najskuteczniej dokonywamy tego za pomocą kąpieli oczu. Można je robić dwa razy dziennie w następujący sposób: W miednicy, pełnej zimnej wody, zanurza się twarz z otwartemi oczyma i mruga się nieco powiekami, aby wprowadzić wodę do oka. Zostaje ono tam 5 sekund. Tę manipulacyę można powtórzyć dwa, do trzech razy z rzędu. To się nazy-

wa kąpielą oczu. Jeżeli oczy wieczorem mocno pieką, wówczas doskonałe przysługi oddaje im przyłożony na noc okład z siadłego mleka. Mleko wchłania w siebie gorączkę i wysycha wskutek tego przez noc. Oczywiście nie należy w ten sposób leczyć choroby oczu. Jeśli kto czuje niedomagania oczu, powinien pośpieszyć do lekarza. Przy stałem życiu bardzo dobremi okazują się przemywania oczu odwarem z włoskiego koperku. Szare lub błękitne okulary niechaj noszą ci, których razi bardzo światło reflektorów. — Nadto nie należy siedzieć długo bardzo pochylonym, lecz trzeba częściej wstawać z miejsca i przeciągać się kilka razy, a także unikać zbliżenia gorącego płomienia lub rozgrzanego pieca.

Jeżeli źdźbła metalowe wpadną do oka, to nie należy żadną miarą pocierać oka, aby źdźbło nie zagłębiło się, tylko potrzeba unieść górną powiekę po nad dolną. Po większej części obce ciałko przez to usunie się do jasnej części oka, natenczas nie trzeba zwlekać, tylko pójść do lekarza, który znieczuli oko i łatwo potem dokona wyjęcia.

Przeciwko chorobom, spowodowanym przez wchłanianie pyłu, najpierwszy i najlepszy środek ochrony stanowi nos.

Drogi oddechowe są z zewnątrz, t. j. od nosa aż do małych pęcherzyków płucnych (alweoli), wyłożone błoną śluzową, mającą na swej powierzchni włoseczki, które pochylają się ku zewnętrznemu prądowi powietrza, szybko oddają mu znowu obce ciałka kurzowe i wszystko, co im staje na przeszkodzie, wyrzucają na powietrze, wywołując kaszel. Kaszel przeto jest dobroczynnem urządzeniem, które wydobywa po części flegmę i inne obce ciałka, nie odpowiadające płucom, a także wyrzuca pył. Sposób częściowego odjęcia szkodliwości tym materyom jest bardzo zajmujący i budzi podziw dla wszechwładnej Opatrzności Stwórcy.

Jeśli już z jednej strony komóreczki starają się o to, aby grubszy pył nie dostał się do płuc, to na płucach samych znajdują się gruczołki, które wiele pyłu przyjmują, przechowują i czynią go nieszkodliwym. Prawda, że to następuje tylko do pewnej granicy, dopóki owe gruczołki nie są przepełnione. Po za tą granicą wnikają cząsteczki, czy to węgli, czy to wapna, czy też kruszcu, we właściwą tkankę płucną, osiadają na niej, prowadzą do zniszczenia tejże, powodują więc suchoty, które w swych skutkach nie różnią się od właściwych suchot tuberkulicznych, a to dlatego, że i tutaj również następuje powolne wycieńczenie i ostatecznie śmierć. Stąd można przekonać się, że gruczołki płucne stanowią tamę ochronną prziwko głębszemu wnikaniu pyłu do płuc. Można widzieć gruczołki płucne tak zbite, że raczej są podobne do kamyczka, niż do gruczołu, i nie można ich przekroić.

Dalej, nie powinno być wolno robotnikom przyjmować jakiegokolwiek posiłku w lokalach pracy, także trzeba na to baczyć, aby przed każ-

dem pożywieniem myli starannie ręce. Czystości wogóle nie może być nigdy zawiele. To też staranne utrzymywanie w czystości ust, zębów, skóry, a zwłaszcza częste kąpiele i t. d., mają wielkie znaczenie tak dla ogólnego stanu zdrowia, jako też ze względu na zapobieganie chorobom skórnym. Więc też w bezpośrednim pobliżu miejsc pracy, powinny znajdować się łazienki, urządzenie zwłaszcza kąpieli natryskowych, a przynajmniej gabinetów do mycia. Wszystkie prace wykonywać należy tylko w osobnem ubraniu do pracy, które się wkłada i zdejmuje w oddzielnych pokojach. Przepis ten ma na celu to, aby robotnik nie dłużej, niż potrzebuje pozostawał w styczności z szkodliwemi materyami i aby ich nie przyniósł do swego mieszkania. Sam ubiór do pracy powinien być tak zrobiony, aby nie przyjmował łatwo pyłu i aby łatwo można go było wyczyścić. Powinien także zamykać się nieco przy szyi, przy ręku i przy kostce nóg. Ręce można jeszcze specyalnie ochronić przez rękawiczki lub pokrycie ich proszkiem talkowym, albo tłuszczem, lanoliną.

Także przeciw tak częstym chorobom narządów trawienia może robotnik przeciwdziałać osobiście.

Niech żyje wstrzemięźliwie, ponieważ właśnie brak umiarkowania jest przyczyną wielu śmiertelnych nawet chorób organów trawienia. Wskutek nieumiarkowania w piciu tracą przedewszystkiem soki żołądkowe swą siłę.

Kwasem solnym przesycony sok żołądka posiada zdolność zabijania wielu trujących zarodków, które wnikają do ciała wraz z pożywieniem. Utrzymanie dobrego soku żołądka chroni od wielu zakaźnych chorób, także od suchot. Zwłaszcza bardzo wątpić należy o wartości spożywania podwieczorku w fabrykach przy warstacie, jeśli robotnik przytem wypija wielką ilość płynów. Posiłek pozostaje w żołądku dłużej, niż powinien, wytwarzają się kwasy, początek kataru żołądkowego, którego nie można się już pozbyć, jeżeli niedomaganie takie trwa długo.



Zadanie arytmetyczne.

W istnej powodzi świateł tonie,
Powiewnych szat i fraków moc:
Osób sześćdziesiąt siedm w salonie,
Ochoczo tańczy całą noc.
Pani radczyni tam króluje:
Z jej wejściem blask kinkietów zbladł.
Wszystka jej młodzież nadskakuje,
Każdy choć raz przetańczyć rad.
I przy sędzinie tłum się tłoczy,
Nie tańczy z nią jedynie mąż;
Na inną z pań znów dwóch się boczy...
W ten sposób aż do końca dąż.
Z pań dalszych każda — mówiąc krótko —
Ma o tancerza coraz mniej;
Ośmiu nareszcie z panną Ludką
Podczas zabawy tańczy tej.
Na zakończenie opowieści
Pytanie takie zadam wam:
Ilu tancerzy salon mieści,
Ile to grono liczy dam?

A. Ł.

Rozwiązania zadań, zamieszczonych w tomie styczniowym.

Szarady I-ej: Cy-try-na. **Szarady II-ej:** Su-kien-ni-ce.

Zagadki: Sak.

Nagrodę za najlepsze odgadnięcie zadań, pomieszczonych w poprzednich tomach, redakcya „Dzwonka Częstochowskiego“ przyznała: pp. Antoniemu L. z Łodzi, Władysławowi Janowi G. z Kutna, Jerzemu W. z Brześcia Litewskiego i „Mimozie“ (pseudonim). Oprócz tego na pochwałę i wyróżnienie zasłużyli: pp. Antoni Zwierzchowski z Dobruchowa, Wacław Gumiński z Warszawy, Aleksander Topolewski z Kutna, W. Zekiel, Antoni

Zięba z Dąbrowy Górniczej, Rudziński z Sławiańska, Władysław Aleksander Berent, Kazia Stajek z Radomia, J. Studniarski z Sandomierza, R. Popielewski z Kutna, Ludwik Wilczopolski, Józef Zdrojewski ze Słobudki, „Samouk Wiejski“ (pseudonim), Piotr Orliński, Józef Śledź z Łęczny, Michał Maniakowski z Łukowa, Kazimierz Kobierski z Bychawy, Marceli Burdziński, Jan Piotrowski z Garwolina, Michał Moniakowski z Łukowa, Józef Bergander z Warszawy, M. Stajek z Radomia, Józef Roter z Kowalowa i Adam P. z Częstochowy.

Humor i Satyra.

Z facecyi autentycznych, wziętych z bardzo starych szpargałów.

JAKO KRÓL SAS WYGLĄDAŁ.

Gdy w roku 1752 August III z wielce licznym pocztem panów niemieckich i naszych jechał na polowanie przez Podlasie do Białowieży, a ludzie z wiosek, którzy nigdy w życiu żadnego króla nie widzieli, wybiegli przypatrywać się, na gościniec brański, obserwowałem jako król Jegomość spał w głębi swojej karety (bo miał substancyę tuczną i snu wiele potrzebował), a przez okno wyglądał jeno wielki jego pies, buldogiem zwany, co widząc baby i dzieci, i biorąc buldoga za króla, dziwowały się nizmiernie, że z wejrzenia taki do psa był podobny.

NIE O TYM DAWIDZIE GRA IDZIE.

Pewien pleban posłał chłopa w niedzielę rano do żyda Dawida po tabakę, a sam poszedł kazać do kościoła i gdy właśnie prawi z ambony o królu Dawidzie, proroku, aż on chłop, powracając od żyda i mniemając, że pleban o tym Dawidzie mówi, zawołał: „Mości księże! niema dziś Dawid tabaki“. Ksiądz zaś na to: „Ale moję dziecię, nie o tym Dawidzie gra idzie“.

A F O R Y Z M Y.

Wady ludzkie udzielają się szybciej, niżeli powietrze i zaraźliwe choroby.

Lepsze jest mądre słowo, co przygania, niż mowy głupców, co schlebiają wiele.

Złe na gorsze się przemienia,
Błędy ojców bierze syn,
I z pokoleń w pokolenia
Spada ciężar dawnych win.

Młodości! tobie bóle, męczarnie, ale i rozkosze; starym sen długi, ale i kołyska bez biegunów.

U ADWOKATA.

Adwokat: — Więc się pan stanowczo chcesz rozwieść z żoną?

Mąż. Ależ stanowczo! Pan nie ma pojęcia, co ja z nią przechodzę. Obchodzi się ze mną jak z psem, każe pracować, jak wołowi, a przezywa mnie baranem!

Adwokat: — W takim razie ja panu nic nie poradzę; udaj się pan lepiej po radę do towarzystwa opieki nad zwierzętami.

PANIE JAKÓBIE, WIESZAJ WAĆPAN!

Był onego czasu jakoby taki zwyczaj, że gdy na potępieńca, wiedzionego na szubienicę, dziewka jaka rzuciła swój rańtuch, na znak, że chce go pojąć na męża, to darowano winowajcy życie pod warunkiem, iżby ślub wzięli niezwłocznie. Owóż zdarzyło się razu pewnego, że gdy kat imieniem Jakób prowadził wieszać młodego urwisa, a zastąpiła im drogę szubieniczną stara baba i chciała skazańcowi ocalić życie, byleby został jej mężem, on hultaj, spojrzawszy na szpetną staruchę, zawołał na kata: „Panie Jakóbie, wieszaj waćpan!“ Słowa te poszły w przysłowie i kiedy kto jakiej niefortunnej łaski przyjąć nie chce, to mówi: „Panie Jakóbie, wieszaj waćpan!“

Odpowiedzi od Redakcyi.

Szan. Prenumeratorce „Dzwonka“ Maryi Magdalenie W. Myśl Pani o obrazie, przedstawiającym wzniośle cześć oddawaną Najświętszemu Sakramentowi, podzielamy w zupełności. Może Bóg pozwoli uskutecznić ten projekt kiedykolwiek.

Życzliwość Szan. Pani, wyrażona w tak serdecznej i pochlebnej formie dla naszej pracy, prawdziwie jest wzruszającą, to też tylko cichem westchnieniem przed ołtarzem Boga Utajonego w Najświętszym Sakramencie na intencyę Pani możemy Jej okazać swą wdzięczność.

Sz. p. Tomaszowi Kawęck. Dziękujemy za list i zawarte w nim obietnice. Pragniemy, ażeby nasi prenumeratorzy byli naszymi przyjaciółmi. Niech Matka Boska błogosławi Waszym dobrym chęciom.

Czcig. Ks. Sakowicz. w Kal. 5 rubli na prenumeratę odebraliśmy. „Bóg zapłać“ za życzenia.

Sz. p. H. Popielewskiemu. 8 rb. 30 kop. odebraliśmy — premium wysłane. Dziękujemy za pamięć i prosimy o zachowanie nadal dla naszej pracy tego szczerego poparcia, jakiego dotąd doznajemy od Sz. Pana.

Czcigodnym Księżom: M. Puzynowskiemu w Ostr. — Stan. Raczkowskiemu w Smar. — W. Godlewskiemu w Zaremb. Kość. — Bogd. Mijakowskiemu w Lądku — Fr. Sadowskiemu w Cyg., *szanownym Panom:* Władysławowi Butwiłowskiemu w Porz., I. Bałaszewiczowi w Nowogrodzie, Mikołajowi Kromale w Poniecu, Doktorowi Hąssowi w Dżar., Janowi Rochowiczowi w War., W. Kobiersk. w Udrid., Piotrowi Lazarowiczowi w Petersb. — *Szan. Paniom:* Bronisł. Rucińskiej w żyr., Gabryeli Olszew. w Zgie., Felicyi Dyakowskiej, Teof. Brzozowskiej w Barze, Jadw. Szymanowicz w Między., Lipkowskiej z żytom. i wszystkim naszym prenumeratorom i przyjaciołom ślemy serdeczne podziękowanie za życzliwości dla naszej pracy i za rozpowszechnianie „Dzwonka Cz.“ pomiędzy znajomymi. Niech Bóg miłosierny błogosławi!

Szan. Pani Angeli Rostworowskiej w St. Pieniądze odebraliśmy. Za życzenia wszelkich łask i błogosławieństwa Matki Bożej uprzejmie dziękujemy.

Sz. Panu Ar. w W. Zgadzamy się zupełnie ze zdaniem Pańskiem, już tom lutowy „Dzwonka“ i dalsze będą zszywane drutem.

Wszystkich przyjaciół „Dzwonka Częstochowskiego” upraszamy o rozpowszechnianie tego czci Maryi, Królowej Nieba i ziemi, poświęconego pisma wśród rodzin chrześcijańskich.

Szanownych Prenumeratorów, zalegających w opłacie prenumeraty, upraszamy o możliwie rychłe jej nadsyłanie.

Upraszamy, ażeby przy odnawianiu prenumeraty, lub w razie zmiany adresu, Szanowni Prenumeratorzy raczyli oprócz nowego podawać i stary adres, pod którym dotychczas odbierali „Dzwonek Częstochowski”.

W celu uniknięcia różnych nieporozumień, najlepiej nadsyłać prenumeratę wprost do Redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego“, Częstochowa pod Jasną Górą.

NOWE KSIĄŻKI.

Świeżo wyszły z druku **„PAMIĘTNIKI”** obejmujące okres od roku 1863 do 1908, napisane przez **Ks. Leona Postawkę** Doktora Św. Teologii Prałata Domowego Jego Świętobliwości Piusa X Rektora Misyi Polskiej w Paryżu. Paryż. **Dwa duże tomy.**

Autor tych pamiętników, będąc młodziutkim księdzem w dyecezyi Kieleckiej, zmuszony był opuścić kraj rodzinny i zamieszkał w Paryżu, gdzie jako dobry Polak gorąco zawsze bierze do serca wszystkie, sprawy dotyczące ojczystego kraju i otacza serdeczną opieką braci Polaków na obczyźnie. Z wielką prostotą ale pięknym językiem i nadzwyczaj zajmująco opisane są przez Ks. Postawkę wspomnienia z jego życia w którem los dał mu sposobność kilkakrotnie odegrać pewną rolę tak w Polsce w smutnych i bolesnych przejściach 1863 r. jako też podczas wojny francusko-niemieckiej 1870 r., szczególnie zaś w okresie komuny paryskiej.

Ks. Arcybiskup Lwowski Teodorowicz o Pamiętnikach tych wyraża się w ten sposób: „Jak w bogatym kalejdoskopie, przesuwają się tu historyczne postacie i historyczne chwile, a epoka życia emigracyjnego Polski, życia, o takim bogatym własnym charakterze, tak blisko przez te karty podchodzi ku nam“.

Cena księgarska dwóch dużych tomów wynosi 5 rubli. Redakcya jednak „Dzwonka Częstochowskiego“, dla swych przyjaciół-prenumeratorów, ustępuje te „Pamiętniki“ po wyjątkowo zniżonej cenie, t. j. za **4 ruble.**

Korzyść materyalną ze sprzedaży Szanowny Autor przeznacza na potrzeby Misyi Polskiej.

Nakładem „Myśli Katolickiej“ wydane zostały akta sprawy Ferrera, sprawcy i wodza rewolucyi w Hiszpanii. Książeczka nosi tytuł: **Proces Ferrera** — Akta oficyalne.

Redaktor i Wydawca: **Ksiądz Józef Adamczyk.**

Druk Drukarni Polskiej (L. Straszewicz a), Warszawa, Jasna 2.

ROK 1910.

Dzwonek Częstochowski

PISMO MIESIĘCZNE ILLUSTROWANE

POD REDAKCYĄ
Księdza JÓZEFA ADAMCZYKA.

Pragnąc, aby „Dzwonek Częstochowski“, ten czciciel Maryi, która tron swój ziemski obrała sobie na Jasnej Górze w Częstochowie, jaknajszersze pozyskał sobie koła Czytelników, redakcya przeznacza na :: :: rok 1910 :: :: **wspaniałe premium**



„Relikwie i skarby klasztoru Jasnogórskiego w Częstochowie“.



W książce tej, obficie illustrowanej, znajdzie każdy polak-katolik dokładny opis pamiątek i zabytków przeszłości od wieków nagromadzonych tutaj przez pobożnych przodków naszych, a także dokładne podobizny zbrodniczo skradzionych koron i sukienki perłowej.

Cenne to premium otrzymają, bez wyjątku, wszyscy prenumeratorzy „Dzwonka Częstochowskiego“.

A także dla upamiętnienia dziesięciolecia swego istnienia redakcya „Dzwonka Częstochowskiego“ ofiaruje *wszystkim* prenumeratorom na rok 1910 piękną

„Książkę do nabożeństwa“

(jedynie za zwrotem kosztów oprawy) **lub do wyboru jedno z wydawnictw „Dz. Częstochowskiego“**, wyszczególnionych w ogłoszeniach.

Rozpoczynając **dziesiąty rok istnienia,** redakcya „Dzwonka Częstochowskiego“ **z wiarą, nadzieją i miłością** spogląda w przyszłość. **Z wiarą,** bo niezłomnie wierzy w zwycięstwo światła nad ciemnością, w potrzebę i pożytek drukowanego słowa w duchu polsko-katolickim, w posłannictwo swoje, jako pisma poświęconego czci Maryi, w słowa dzisiejszego Namiestnika Chrystusowego na ziemi, który obowiązek wkłada na kapłanów katolickich, aby nieśli przed narodem pochodnię oświaty za pomocą pism i książek, chwałę Bożą mających na celu. **Z nadzieją,** bo ufa, że ziarno myśli i uczuć, które z każdej stronicy „Dzwonka Częstochowskiego“ rzuca w serce polskiego czytelnika, że ziarno to plon obfity wyda, że posiew szatański, który rzucają pisma bezecne, handlarskie, najniższym instyktom hołdujące, że posiew ten bezbożnych złych pism i książek zniweczony zostanie. **Z miłością,** bo gdyby choć jeden wiersz w „Dzwonku Częstochowskim“ miał nie być przejęty i opromieniony tem świętem uczuciem chrześcijańskiem, tem pragnieniem szczęścia dla ludzkości, to za nic najmędrsze wywody, najsubtelniejsze dociekania, najbardziej interesujące opisy!... Miłować Boga i ludzi, — podsycać ten nigdy niegasnący ogień święty jest zadaniem „Dzwonka Częstochowskiego“, który pragnie, aby płonął jak najszerzej, jak najwyżej.

Tak więc wiarą, nadzieją i miłością, rozpoczynając **dziesiąty rok istnienia,** rozbrzmiewać będzie „Dzwonek Częstochowski“, a głos jego słyszeć będą wszyscy ci, którzy kochają i pragną szczęścia Matki-Ojczyzny, którzy pragną osiągnąć najwyższy i najświętszy cel każdego człowieka — zbawienie wieczne.

Tysiączne były trudności, tysiączne przeszkody, na pozór nawet nie do zwalczenia w pierwszych latach istnienia „Dzwonka Częstochowskiego“; źli ludzie usiłowali stłumić, zagłuszyć głos dźwięczny czciciela Maryi. Lecz za przyczyną Bogarodzicy „Dzwonek Częstochowski“ zamiast umilknąć, zaczął coraz głośniej rozbrzmiewać, coraz szerzej, coraz dalej dzwonić od krańca do krańca ziemi polskiej... I dziś, gdy redakcya rozpoczyna **dziesiąty rok swej służby,** śmiało i z radością powiedzieć może, że jest jednem z najpoczytniejszych pism polskich, a jedynem chwale Królowej Korony Polskiej poświęconem. To wyjątkowe powodzenie, te ogólne głosy uznania i zachęty, które od swych przyjaciół odbiera, wkładają na redakcyę „Dzwonka Częstochowskiego“ obowiązek zebrania jak najobfitszego i najpożyteczniejszego materyału na rok 1910. Jest on też wyjątkowo obfity, urozmaicony, zajmujący i wyborowy.



Ojciec Święty Leon XIII błogosławi wydawnictwo **»Dzwonka Częstochowskiego«.** Również błogosławieństwa **»Dzwonkowi Częstochowskiemu«** udzielił i Ojciec Święty Pius X.

Na pierwszem miejscu wymienimy:

„OBRAZY Z DZIEJÓW KOŚCIOŁA RZYMSKO-KATOLICKIEGO NA LITWIE I RUSI".

Znajdzie tu czytelnik wzruszające opisy i życiorysy bohaterów naszych, którzy żyli, walczyli i umierali z hasłem „Bóg i Ojczyzna".

Pozyskaliśmy też nader zajmującą powieść p. t. **„Tajemnice sekty"**. napisaną przez jednego z wielce poczytnych pisarzy polskich

Dzieje ojczyste, a zwłaszcza **czasy porozbiorowe** znajdą na kartach „Dzwonka Częstochowskiego" szerokie uwzględnienie. Czytelnik pozna bliżej i pokocha te bohaterskie postacie z ostatnich chwil Rzeczypospolitej polskiej, z czasów Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, których ofiarność krwi i mienia, poświęcenie się i miłość wysoko podniosło ducha narodowego.

Oprócz tego rozpoczniemy druk prac, których w roku ubiegłym drukować nie mogliśmy, a mianowicie:

1) „Święty Piotr Klawer, Apostoł Murzynów", 2) „Nad Gopłem" przez Stefana Gębarskiego, 3) „Pierwszy Polak męczennik za Wiarę świętą w Japonii", 4) „Maluczcy i wielcy czciciele Maryi, ∴ ∴ ∴ Matki Boskiej, w pochodzie wieków" i t. p. ∴ ∴ ∴

W dalszym ciągu drukować będziemy powieść historyczną **„KOŚCIUSZKO"** Bolesława Biernackiego, dając czytelnikowi obrazy czasów i ludzi, walk i zwycięstw z epoki tyle nam drogiej naszego odrodzenia narodowego.

Posiadamy też CENNE PRACE ks. Wł. Fudalewskiego, Józefa Grajnerta, Marcina Kopca, :: Zofii Sokołowskiej, Wł. Karolego, Stefana Gębarskiego, A. Mączyńskiego i innych. ::

Szanowny Księże Redaktorze!

Każdemu wiadomo, jak wielką jest potrzeba pism peryodycznych, któreby dawały duchową i społeczną strawę. Zasady bowiem i poglądy w pismach zawarte powoli wsiąkają w umysły i urabiają serca czytelników. To też uznanie Ci się należy, Szanowny Księże Redaktorze, za zbożną Twą pracę w „Dzwonku Częstochowskim", za rozsiewanie zdrowego ziarna na roli rodzin chrześcijańskich, dla których na wzór i obronę podajesz Najświętszą Bogarodzicę Maryę. Że praca Twa była potrzebna, świadczy poczytność „Dzwonka Częstochowskiego".

Kształć więc umysły i urabiaj serca, ufny w łaskę Bożą, opiekę Maryi i pomoc współpracowników, których wyszukiwać z pewnością nie potrzebujesz.

Zapewniając o swej dla „Dzwonka Częstochowskiego" życzliwości, zasyłam pasterskie błogosławieństwo Tobie, Szanowny Księże Redaktorze, Współpracownikom i Czytelnikom.

(popisano) Ks. Stanisław Zdzitowiecki
Biskup Kujawsko-Kaliski

Włocławek, d. 2 Lutego 1903 r.



Medal złoty, którym nagrodzono „Dzwonek Częstochowski" na kongresie katolickim w Fryburgu.

Przeglądy naukowe, tak z dziedziny politycznej, społecznej, handlowej i przemysłowej, jak i ***wiadomości z chwili bieżącej, wychowania*** szkolnego i domowego, ***hygieny i rolnictwa,*** stale zamieszczać będziemy, pilnie bacząc, aby żadna gałąź wiedzy pominiętą nie była.

Kto kocha Boga i Ojczyznę, komu drogą dobra przyszłość i oświata ludu naszego, ten niechaj popiera „Dzwonek Częstochowski“, którego redakcya otrzymała błogosławieństwa Ojca Swiętego Leona XIII i Piusa X, oraz biskupow i księży naszych

---

Na kongresie katolickim we Fryburgu nagrodzono redakcyę „Dzwonka Częstochowskiego“ **medalem złotym,** a na kongresie Maryańskim wszechświatowym w Rzymie biskupi i kapłani wyrażali publiczne pochwały dla naszej pracy.



Rzym d. 5 Grudnia 1904 r.

Do Szanownej Redakcyi
„Dzwonka Częstochowskiego“

Kongres wszechświatowy ku czci Niepokalanej Matki Bożej w Rzymie odbył się z niesłychaną okazałością. Brało w nim udział kilkunastu Kardynałów, parę set biskupów, i niezliczona ilość uczonych z całego świata. Mowy były prawie [illegible] wygłaszane ku czci Matki Bożej. O Dzwonku Częstochowskim przemawiał Kanonik [illegible] w kościele Matki Boskiej Śnieżnej. Ksiądz Glorieux w Sekcyi prassy, zasypywany przez Księży z Polski i czcicieli Maryi tysiącami oklasków. Jego Excellencya Ksiądz Arcybiskup Lwowski i inni bawiący tu biskupi polscy z wielkiem uznaniem wyrażali się o Dzwonku, jako wydawnictwie poświęconem czci Maryi. [illegible] w naszym kraju.

Uczestnik kongresu w Rzymie Ksiądz Kazimierz Grabowski

Opłata za „Dzwonek Częstochowski” wynosi: rocznie z przesyłką pocztową rub. 4, półrocznie rub. 2, kwartalnie rub. 1. W Austryi: rocznie koron 10, półrocznie koron 5.—W Niemczech: rocznie marek 9, półrocznie marek 5. W Ameryce 2 dolary 50 cent. rocznie (5 rubli). Cena ogłoszeń: Na całej stronicy rub. 12, na połowie stronicy rub. 8, na czwartej części stronicy rub. 5 i za wiersz 75 kop. Prenumeratorzy miejscowi za odnoszenie do domu dopłacają 10 kop. kwartalnie.

Listy i przesyłki pieniężne należy adresować w ten sposób:

Do redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego“ pod Jasną-Górą w Częstochowie.